

# odgłosy



26 (710)

27. VI. 1971 r.

Cena 1,50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV**



Fot. W. Parys

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

## MOJE TRZY GROSZE

Artykuł Jana Koprowskiego — „W becze młodu trochę dziegiu”, ukazał się na mój gust w samą porę. Zazwyczaj dzieje się u nas tak, że kiedy nadchodzi kanikuła wywołuje się dyskusje o zepsuciu moralnym młodzieży, albo też dyskusję na temat — czy Łódź jest miastem kulturalnym. Tym razem jest inaczej, w naszych obecnych warunkach dyskusja na temat sytuacji kulturalnej Łodzi — jak najbardziej jest na miejscu, niezależnie od tego, kto już wyjechał na rybki, kto poszedł na grzybki i już — na szczęście — nie wróci. Na miejscu dlatego, że dobiegają powoli końca prace komisji rządowej, która zajmuje się przebudową i rozbudową Łodzi. Czegoś podobnego, takiego zainteresowania dniem dzisiejszym i przyszłością Łodzi, w ogóle po wojnie nie było. Możemy więc spodziewać się poważnych zmian w całym, skomplikowanym życiu robotniczego miasta, w życiu kulturalnym także.

Jan Koprowski przypomniał nam niedobre praktyki, wyraźnie manifestowaną illo tempore niechęć do twórców ze strony poszczególnych kierowników naszego łódzkiego podwórka. Sam także słyszałem z ust bardzo mocnego politycznie notabla bardzo przykre słowa pod adresem pisarzy, że niby nie orły, mogą bez obawy spać przy otwartych oknach, nie wyfruną. Tymczasem wielu wyfrunęło, a ów notabl, poza kupieniem kilku piłkarzy dla naszych drużyn, niczego na rzecz kultury przed swoim odejściem uczynić nie zdołał. Warto, rzecz prosta, przypomnieć tego rodzaju praktyki, bo to w jakiejś mierze chroni przed ich powtórzeniem się.

Na razie jednak sytuacja rozwija się w pożądanym kierunku. Nasi sternicy biorą żywy udział w całym szeregu wydarzeń kulturalnych, wpływają korzystnie na nie, chętnie widzą ludzi kultury u siebie. Puścili w grudniu lody, popękały mury, nikt chyba nie buduje fortyfikacji, żeby się ukryć za nimi przed działaczami i twórcami kultury.

Dlatego zdziwił mnie trochę i troszkę zaniepokoił interesujący skądinąd radiowy felieton Wacława Bilińskiego. Posiedzenie Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, które odbyło się w Łodzi — do kitu, sami serwilisci, potakiewicze. Czy dlatego, że pisarze próbowali w mieście pracy przedyskutować problematykę pracy w naszej literaturze? Gdyby Autor na tym zebraniu był, a nie był, może by je osądził inaczej. Zli są ci, którzy Łódź porzucili dla ciepłych posadek w Warszawie, ale ci co pozosta-

Dalszy ciąg na str. 5

ZOFIA TARNOWSKA

## Lawina runęła nie od Tatr

Śnieg w tym roku późno stopniał w dolinach Wysokich Tatr. Przekwitwały już dywany krokusów. Strumienie uwolnione od śniegowych zapór porwały w dół. Turystyczne szlaki wysuszył wiatr i słońce, które tu, w dole, w samym Zakopanem świeci inaczej niż na szczycie Kasprowego Wierchu, czy na Ornaku. Tu słońce traci swą moc przenikając przez zaporę dymu i spalin. Tu strumienie płyną wolniej i zamieniają się w ścieki i śmietniska. Kaskady wody spadają ze zwalów odpadów uformowanych z puszek, butelek, połu-

zonego szkła, szmat i wszelkiej masy brudów, usuwanych wprost z domostw w nurty uroczysk. Wóz asenizacyjny niewiele ma roboty. Z chat położonych nad potokami, biegnącymi przez miasto, usuwa się śmieci wprost do wody. Obawiam się, że za kilka lat głęboki wąwóz potoku Cicha Woda wypełni się po brzegi brudami, aż sięgnie drogi Ubocza, przewali się przez nią i przez połamane płyty starych chat, sięgnie nowych wili, które coraz wyżej pną się na stok Gubałówki.

Zakopane dusi się. Dziesiątki autobusów, utrzymujących kontakty miasta z okolicami, co kilkanaście minut trzęsą się po zniszczonej nawierzchni ulicy Kościelskiej, pędzą z Kłr do Jaszczurówki, z dworca do Kuźnic, z Chochołowa, Witowa... ach, nie ma co wymieniać — setki kursów dziennie we wszystkie strony, znaczone nieustającym tumanem kurzu i smugami czarnych spalin. W samym centrum miasta — baza PKS: nowy dworzec — główne źródło zanieczyszczeń i piekielne

Dalszy ciąg na str. 4



## Bezsilny protektor

„TIME” — NOWY JORK

Od czasu, gdy garstka fanatyków spod znaku „Ligi obrony Żydów” systematycznie napastuje radzieckich dyplomatów i członków ich rodzin w Nowym Jorku i Waszyngtonie, z coraz większą ostrością występuje problem, jak położyć kres podobnym bezceństwu. Niektórzy Rosjanie są skłonni przypuszczać, iż chuligańskie wyczyny „ligi” są nie mniejszą przeszkodą na drodze poprawienia stosunków amerykańsko-radzieckich, niż Wietnam i Bliski Wschód. Być może, jest w tym trochę przesady, ale można to zrozumieć, gdyż radzieccy dyplomaci są do głębi oburzeni akcją „ligi”. Co więcej, w Rosjanach budzi coraz większy niepokój stosunek do tej sprawy rządu Stanów Zjednoczonych, który, ich zdaniem, nie jest zdolny, lub nie chce okiełznać chuliganów.

W tych dniach podjęto w tym kierunku pewne kroki. W Nowym Jorku aresztowano przywódcę „ligi” Meira Kahane i jego sześciu współpracowników. Wszystkich siedmiu obwiniono o naruszenie ustawy z 1968 roku o kontroli sprzedaży broni palnej. Nie minęło jednak nawet kilka godzin, a już Kahane został zwolniony za kaucją w wysokości 25.000 dolarów i — brzmiało to jak paradoks — zażądał postawienia przed sądem oskarżycieli. Na domiar, Kahane nawiązał kontakt z Josefem Colombo, znanym członkiem amerykańskiej mafii i założycielem „ligi do walki o prawa obywatelskie dla Amerykanów pochodzenia włoskiego”. Oba oni oświadczyli, iż są zdecydowani przeciwstawić się „prześladowaniom” rządu federalnego. Pozostaje kwestia, czy rząd amerykański, albo po prostu policja nowojorska, nie powinny wystąpić przeciwko „lidze obrony Żydów” w sposób bardziej zdecydowany.

Wydaje się, iż Rosjanie tego właśnie oczekują. Mówią, że żyją w warunkach ustawicznego obłąkania. Zony dyplomatów opowiadają, iż częstokroć lękają się wyjść na ulicę, nieraz do

najbliższego sklepu, z obawą, że zostaną obrzucone wulgarnymi wyzwiskami. Niedawno zdarzyło się to 9-letniej córce Nikołaja Łoginowa, pierwszego sekretarza radzieckiego przedstawicielstwa w ONZ. Obrażliwe wyzwiska wykrzykiwała grupa członków „ligi” rozlokowana na dachu synagogi, niemal naprzeciw budynku przedstawicielstwa.

Oburzenie Rosjan rośnie. „Niech pan posłucha — mówi Łoginow — mieszkam tutaj już trzy lata i wiem, jak wasza policja odnosiła się do członków „Czarnej Pantery”. Przypominam sobie, jak obchodzono się ze spokojnymi demonstrantami w Waszyngtonie. Kiedy wasza policja chce powstrzymać demonstrację, umie to zrobić. Ale w tym wypadku nie chce ona nic zrobić”.

Obecnie wypadaloby władzom zebrać dostatecznie przekonujące dowody, aby postawić przed sądem członków „ligi” za naruszenie obowiązujących ustaw, jak to na przykład miało już miejsce w niedawnej sprawie Kahane, Seria procesów położyłaby z pewnością kres mniej lub bardziej poważnym napadom na radzieckich dyplomatów i członków ich rodzin.

Istnieje jeszcze jeden, choć wątpliwy, sposób. Przypuśćmy, że Lindsay, mer Nowego Jorku, poleci pewnego pięknego dnia swemu pracownikowi: „Nie interesuje mnie, jak pan to załatwi. Żadam, aby skończyć z wyzwiskami i napadami na radzieckich dyplomatów”. „No, cóż — odpowie podwładny Lindsaya — musimy o tym powiadomić przede wszystkim szefa policji”.

Szef policji przekazał polecenie swoim podwładnym: „Skończyć z tym!” Wówczas przy radzieckiej ambasadzie można by wystawić tyłu policjantów, że z kolei członkowie „ligi” staliby się ofiarami policyjnej samowoli. Ale czy można tak? Pracownik mera odpowie więc z niedowierzaniem: „W tym mieście? Z taką ilością wyborców — Żydów? Pan chyba żartuje”.

## Wyrocznie z Kilonii

„KONKRET” — HAMBURG

Już od kilku miesięcy atmosfera nad zachodnim wybrzeżem Morza Bałtyckiego gęstnieje z każdym dniem. Tym razem nie są temu winne zakłady przemysłowe. Trujące opary nad Kilonią i sąsiednimi miastami rozsiewa nowa radiostacja odwetowców.

Jej właściciele nazwali ją oficjalnym głosem „zjednoczonych rządów ziomkowskich Prus Wschodnich, Pomorza, Dolnego Śląska, Sudetów, Południowych Czech” oraz innych „państw autonomicznych”, które — jak wiadomo — nie istnieją w przyrodzie.

Niemniej, jak się okazuje, owe państwa-widma mają swoich „pełnomocnych przedstawicieli” w osobach liderów rozlicznych odwetowych „ziomkostw”, które znalazły schronienie na terytorium Republiki Federalnej.

Historia z tą radiostacją jest kolejną prowokacją. Należy tu przypomnieć o majaczeniach odwetowców z ubiegłego roku, kiedy to wzdrowie „ziomkostw” zjednoczonych w tzw. „rządzie na emigracji”, usładowali nakłonić „międzynarodowy

trybunał w Hadze do rozpatrzenia ich roszczeń o wypłacenie „odszkodowania” za majątki ziemskie i inne posiadłości, które niegdyś do nich należały. Ten śmiechu wart pomysł skończył się publiczną kompromitacją.

Nowo upieczony dyrektor stacji — Hofman — bez żenady oświadcza publicznie, iż w Niemczech zachodnich w przeciągu dwudziestu lat nigdy nie powie, dziano tyle razy słów: „Rzesza niemiecka”, co w audycjach „nowej rozgłośni radiowej”. Nawiasem mówiąc, tak się ona nazywa: „Rzesza niemiecka”.

Władze próbowały uciszyć „Rzeszę niemiecką”, ale to nie tak było łatwe. Okazało się bowiem, iż ustawa zabrania działalności tylko anonimowym radiostacjom. A Hofmanowi oraz jego pomocnikowi — Teschmannowi, który niegdyś posiadał „ogromne majątki na Wschodzie”, nie można zarzucić, iżby unikali jawności. Wprost przeciwnie — wyrocznie z „Rzeszy niemieckiej” nieustannie reklamują własne „zasługi wobec ojczyzny”. Wprawdzie — uważał się przed naszym koresponden-

tem Hofman — że, mając „jeszcze mało słuchaczy”, Skargi odwetowca nie są przypadkowe. Demokratyczna część społeczeństwa Kilonii i innych miast NRF

energicznie protestuje przeciwko zatruciu atmosfery oparami odwetowej propagandy. Kolejna prowokacja prawicy jest wyraźnie skazana na flakso.

## „Piekiło egzaminacyjne”

„JOMIURI” — TOKIO

Japonia przeżyła niedawno kolejne „piekiło egzaminacyjne”. Pięćset tysięcy szczęściarzy, spośród 4 i pół miliona pragnących dostać się na uniwersytety, wyczytało swe nazwiska na listach przyjętych na uczelnie i wystroliło się w wypłiwale czapki studenckie, ofiarowane im przez ojców i starszych braci. Kroniki sądowe gazet znów zapełniły się informacjami o licznych samobójstwach wśród kandydatów na studia wyższe, którzy nie zdali egzaminów wstępnych lub uwikłali się w afery, które miały im otworzyć wrota uniwersytetów. A nadużyć takich było w tym roku dużo, jak nigdy.

Na przykład w Osace wykryto cały syndykat przestępczy, trudniący się sprzedażą kart egzaminacyjnych mimo, iż drukowano je w wielkiej tajemnicy i w dodatku — w drukarniach więziennych. Szczególnym popytem cieszyły się karty na egzaminy wstępne na wydziały medyczne. W Japonii, z jej 104 milionami ludności, jeden lekarz przypada na tysiąc mieszkańców. Przy obecnych opłatach za pomoc lekarską młody lekarz szybko i bez wysiłku zrekomensuje koszty wykształcenia, wykonując praktykę lekarską wśród zamężnych klientów.

Opłaty za przyjęcie na uniwersytet i za naukę są

stosunkowo nie wysokie tylko w państwowej uczelniach. Jest ich jednak w kraju niewiele. Dlatego, aby — nie ryzykując obłania egzaminów — dostać się do prywatnego uniwersytetu używa się kilku sposobów. Jednym z nich jest wykorzystanie pozycji ojca, jeżeli zajmuje on dostatecznie wysokie stanowisko w aparacie państwowym, aby móc przydzielić daję uczelni godziwe subsydium ze skarbu państwa. Nawiasem mówiąc, uniwersytety prywatne niemal z reguły kłębą biedę. Inna metoda polega na jednorazowym wsparciu uczelni kilkoma miliardami jenów, co gwarantuje kandydatowi na studia w tej uczelni wysokie noty egzaminacyjne.

Nader szeroko jest rozpowszechniony system kursów przygotowawczych. Opłata za naukę na nich waha się w granicach od 200 do 500 tysięcy jenów rocznie. Ogólnie rzecz biorąc, jak oblicza popularny dziennik „Siukan Bunsun”, dyplom lekarza, inżyniera, nauczyciela czy prawnika, biorąc pod uwagę wszystkie pozycje wydatków na naukę, kosztuje od 10 do 25 milionów jenów. O wynikach takich egzaminów konkursowych, jak obecnie, decyduje już nie wiadomości abiturientów, lecz pieniądze ich rodziców.

## Hiszpańskie kłopoty z „Centrum”

„FIGARO” — PARYŻ

Hiszpańskie ministerstwo budownictwa mieszkaniowego wydało polecenie natychmiastowego wstrzymania budowy 164-metrowego drapacza chmur w centrum Madrytu, który zresztą wybudowano już do połowy, a nawet nazwano „sewilską wieżą”. Potem wydało ministerstwo następne polecenie: rozebrać to, co już wzniesiono. Powód nieoczekiwanej decyzji sprecyzowano następująco: „drapacz chmur nie komponuje się z sylwetką miasta”.

A może ministerstwo budownictwa mieszkaniowego nie zostało w swoim czasie poinformowane przez władze miejskie o budowie drapacza? Nie, budowa najwyższego gmachu w Hiszpanii była uzgodniona, a przedstawiciele ministerstwa uczestniczyli przy zakładaniu jego fundamentów. Prawdziwy powód zmiany decyzji tkwi w antagonizmie dwóch zwalczających się ugrupowań

rządowych, które wzajemnie zwalają na siebie winę „za nieracjonalne wydawanie państwowych pieniędzy”. Charakterystyczny jest i drugi przykład. Kilka miesięcy temu wysadzono w powietrze i zrównano z ziemią świeżo wybudowany hotel na wyspie Ibiza.

Decyzję zburzenia hotelu motywowano tym, iż „jak się okazało — przeszkadzał on w komunikacji powietrznej, jako że obok znajdował się lotnisko... Z tego samego powodu podjęto decyzję „skrócenia” o dwa piętra wszystkich budynków znajdujących się w pobliżu lotniska, w większości zamieszkałych.

Warto w tym miejscu wtrącić drobną uwagę, że swego czasu, te same władze zaleciły budowę hotelu. Pytanie: czym kosztem wydaje się takie polecenia? Odpowiedź: kosztem podatnika hiszpańskiego.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

★ FELIKS BĄBOL — WYJŚCIE Z DŻUNGLI

★ KRZYSZTOF POGORZELEC — KOMU BIJĄ WERBLE?

★ KAROL BADZIAK — JAK DR EWA POHAŃBIŁA FELCZERÓW

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Miniony tydzień upłynął głównie pod znakiem problematyki niemieckiej. Przede wszystkim z uwagi na VIII Zjazd SED, który obradował przy udziale reprezentantów 91 partii robotniczych i komunistycznych. Wśród gości, na czele delegacji, uczestniczyli w zjeździe także Edward Gierek i Leonid Breżniew, którzy wygłosili przemówienia powitalne.

W referacie I sekretarza KC SED — E. Honeckera wiele miejsca zajęły kwestie europejskie, a wśród nich stosunek do NRF. Stanowisko KC SED w tej ostatniej sprawie wyłożone zostało w następujący sposób:

Między socjalistyczną NRD a imperialistyczną NRF możliwe są jedynie stosunki pokojowego współistnienia — zgodne z normami prawa międzynarodowego. Państwa o przeciwstawnym ustroju nie mogą bowiem mieć innych stosunków. Teza o „jedności narodu niemieckiego”, forsowana w NRF, ma na celu ukrycie faktu, że przeciwieństwa między obu państwami niemieckimi nie zmniejszają się, lecz wzmagają. Jest przecież zrozumiałe, iż różne drogi rozwojowe, jakimi kroczą państwa niemieckie, pogłębiają rozgraniczenia.

NRD dostrzega różnice w postępowaniu sił konserwatywnych i prawicowo-socjaldemokratycznych w NRF, główne ciosy kierując w nosicieli tendencji otwarcie odwetowych. Sprzyja natomiast działaniu NRD skupianie się we wspólnym działaniu wszystkich sił postępowych. Wśród tych sprawozdanie KC SED wymienia także robotników socjaldemokratycznych i chrześcijańskich, a wolażca młodzież.

Referat sprawozdawczy E. Honeckera w kontekście europejskiego bezpieczeństwa wiele uwagi poświęcił układom Związku Radzieckiego i Polski z NRF, akcentując ich doniosłe znaczenie. Teraz chodzi o ratyfikację układów. Przeciwnie jej są ultrapravicowe siły, które nadal reprezentują starą, odwetową koncepcję. Nie służy także sprawie odprężenia sztuczne wiązanie i uzależnianie ratyfikacji od postępu rokowań w sprawie Berlina zachodniego.

Do rozmów czteromocarstwowych na temat tego miasta nawiązał w przemówieniu Leonid Breżniew. Dał on wyraz pragnieniu swojego kraju, aby wysiłki na rzecz zakończenia przeciągających się rokowań uwiecznione zostały powodzeniem. Ten fragment przemówienia komentatorzy oceniają jako nacechowany optymizmem. Nawet rzecznik rządu bolskiego — von Wechmar podkreślił w oficjalnym oświadczeniu, że, jak się zdaje, „Związek Radziecki zainteresowany jest w osiągnięciu i realizacji efektywnego porozumienia berlińskiego”.

W tym miejscu warto odnotować głosy prasy zachodniej, która, nawiązując do kolejnej rundy rozmów 4 mocarstw, zaplanowanej na 25 bm., podkreśla, że poważna część tekstu porozumienia jest już gotowa. Są jednak również „puste miejsca”, które z uwagi na tajemnicę rozmów nie wiadomo, czego dotyczą. „Akcentem niemieckim” minionej tygodnia była również amerykańska wizyta kanclerza Brandta. Na konferencji prasowej w Nowym Jorku szef rządu zachodniemieckiego określił swe rozmowy w Waszyngtonie jako zadawalające, dając do zrozumienia, iż w zasadniczej części dotyczyły one redukcji wojsk w NRF. Uzgodniono z Nixonem, że sprawa ta będzie traktowana jako priorytetowa. Według słów Brandta — w Waszyngtonie dyskutowano w równym stopniu stosunki Wschód — Zachód, co i istotne problemy świata zachodniego. Kanclerz apelował do Stanów Zjednoczonych, aby ściśle współpracowały z EWG, gdyż nie wolno dopuścić do wojny handlowej. Omawiano problemy współpracy międzynarodowej w dziedzinie finansów oraz uelastycznienia systemu monetarnego.

Kanclerz z naciskiem podkreślił, iż rząd USA w pełni i bez zastrzeżeń popiera politykę wschodnią NRF.

Rangę rozmów Brandta z Nixonem i innymi przedstawicielami administracji waszyngtońskiej z pewnością wyznaczają dwa fakty: trwające rozmowy na temat Berlina zachodniego i pokojowe inicjatywy radzieckie oraz bliskie, być może, urzeczywistnienia przyjęcia W. Brytanii do EWG.

A teraz zmieńmy temat, aby nieco uwagi poświęcić ujawnionym przez „New York Times” tajnym planom Pentagonu wobec Wietnamu. Opublikowanie przez dziennik fragmentów raportu, składającego się z 45 tomów, wywołało w Stanach Zjednoczonych prawdziwą burzę. Natychmiast wkroczył sąd, zakazując dalszych publikacji. Podjęto energiczne dochodzenie, którego celem jest wyjaśnienie, w jaki sposób redakcja weszła w posiadanie dokumentu Departamentu Obrony. Dlaczego władze podniosły taki alarm?

Odpowiedź na to pytanie daje treść raportu, z którego wynika, że jeszcze za czasów prezydentury Trumana i Eisenhowera przygotowywano napaść na Wietnam, a administracja Johnsona gotowa była to zrealizować jeszcze przed tzw. „incydentem tonkińskim”. Akty terroru i sabotażu wobec DRW prowadzono już od 1954 roku. Kiedy jednak w listopadzie 1964 roku doszedł do władzy Johnson — przygotowaniom do ataku na DRW nadano konkretną postać. Tak więc amerykańska opinia publiczna wprowadzona była w błąd co do okoliczności rozszerzenia wojny.

Ujawnienie raportu Departamentu Obrony może mieć poważne następstwa także poza Stanami Zjednoczonymi. Już odezwały się partie opozycyjne w Australii i Kanadzie, które zażądały szczegółowego śledztwa na ten temat. W Australii chodzi o wyjaśnienie okoliczności przystąpienia tego kraju do wojny wietnamskiej, w Kanadzie — o jej rolę w przekazywaniu amerykańskich depech rządowi DRW. Sprawa nabiera coraz większych rozmiarów i ma charakter międzynarodowego skandalu.

W. SŁAWSKI

# W SPRAWIE KRYTYKI PRASOWEJ

## I.

W ZWIĄZKU Z ARTYKULEM PT. „OPTYK I ZAĆMA”, ZAMIESZCZONYM NA ŁAMACH „ODGŁOSÓW”, REDAKCJA SKIEROWAŁA PISMO DO KIEROWNIKA WYDZIAŁU ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ PREZ. RN M. ŁODZI, PANA DR TADEUSZA LEWEGO, NASTĘPUJĄCEJ TREŚCI:

„W załączeniu przesyłamy 20 numer „Odgłosów” z dnia 16.V.71, z artykułem red. Karola Badziaka pt. „Optyk i zaćma” z prośbą o zajęcie stanowiska.

REDAKTOR NACZELNY  
(—) JAN KOPROWSKI

## II.

W ODPOWIEDZI REDAKCJA OTRZYMAŁA PISMO KIEROWNIKA WYDZIAŁU ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ PREZ. PANA DR TADEUSZA LEWEGO, NASTĘPUJĄCEJ TREŚCI:

„W związku z pismem z dnia 20.V.r.b. Łdz. 41271/M — uprzejmie zawiadamiam.

Z dużym zainteresowaniem zapoznaliśmy się w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej Prez. m. Łodzi z treścią artykułu Red. Karola Badziaka „Optyk i zaćma”.

Z przykrością stwierdzamy i nie po raz pierwszy zresztą, że przedstawiane w artykułach fakty są zabarwiane „nutką sensacji lub skandalu”, ale taki widocznie jest styl Red. Badziaka.

Prosił Pan Redaktor w swym piśmie o zajęcie stanowiska w sprawie.

Sprawa niniejsza, odrzucając wszelkie — jak mówi Red. Badziak — „szalejące bzdury” przedstawia się następująco.

Łódź rzeczywiście posiada trudności w zaopatrywaniu ludności w szkła kontaktowe. Dotychczas za obiegową walutę chory mogli nabyć tego rodzaju szkła jedynie za pośrednictwem Spółdzielni Lekarzy Specjalistów. Do sprawy uprawnień zawodowych ob. Borchardta, który te szkła w w/w Spółdzielni wykonywał jak i sprawy rozwiązania z nim przez Zarząd Spółdzielni umowy o pracę nie będąc się ustosunkowywał.

Zdaniem Wydziału, produkcją szkieł kontaktowych powinien zająć się przemysł optyczny i Foto-Optyka, bo tylko oni mogą dać gwarancję za właściwie wykonany produkt. Sprawa ta była przez nas anonsonowana w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej, bowiem tylko na tym szczeblu można tę sprawę załatwić. Widocznych rezultatów naszych starań jeszcze nie widzimy w przemyśle krajowym, ale wiadomym nam jest, że zostały sprowadzone do Polski pierwsze partie szkieł kontaktowych miękkich z Czechosłowacji w ramach realizacji umów handlowych.

Zapewniam Pana Redaktora, że jedne, nawet „złote ręce” tego problemu w skali miasta na pewno nie rozwiążą i takie artykuły więcej mogą uczynić zła niż dobra.

KIEROWNIK WYDZIAŁU  
DR NAUK MED. TADEUSZ LEWY

## III.

Odpowiedź ta może budzić tylko zdumienie i niepokój. Pracownik naszego pisma red. Karol Badziak, w sposób poważny i jak najbardziej odpowiedzialny, w oparciu o pełną dokumentację, poruszył

problem, który dotyczy ludzi zagrożonych ślepotą. A tymczasem dowiedzieli się z pisma Wydz. Zdrowia, że goni za tanią sensacją i skandalem. Owszem, mamy tu faktycznie do czynienia ze skandalem, lecz nie z winy autora artykułu pt. „Optyk i zaćma”. Zresztą do lekceważenia dziennikarza, pisma i czytelników przez niektóre czynniki zdążyliśmy się w Łodzi przyzwyczaić. Ale nie przyzwyczailiśmy się nigdy do lekceważenia opinii publicznej i ludzkiego zdrowia. Ton wytwornej nonszalancji kierownika Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Prez. RN m. Łodzi, a więc człowieka najbardziej odpowiedzialnego za zdrowie mieszkańców naszego miasta, może budzić w tym kontekście tylko zdziwienie.

Oczywiście pan dr Tadeusz Lewy przyznaje z rozbrajającą szczerością, że „Łódź rzeczywiście posiada trudności w zaopatrywaniu ludności w szkła kontaktowe”. I co z tego? Ano, wysłano anons do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Jak widać — nie wysłono się zbytnio. Tu nie „anons” potrzebny, ale uporczywe starania, a zanim sprawa zostanie rozwiązana generalnie, należy wykorzystać wyjątkowy talent optyka, Mariana Borchardta, który sam jeden wyręcza na razie w tej dziedzinie cały przemysł optyczny, łącznie z przedsiębiorstwem „Foto-Optyka”. Tymczasem człowiekowi temu kładzie się klody pod nogi, a kierownik Wydziału Zdrowia nie uważa nawet za stosowne ustosunkować się do tej kwestii. Mamy tu do czynienia z przykładem obojętności na sprawy ogółu. Zaprezentowany został znany dobrze sposób myślenia o konfliktowych sprawach społecznych. „Zdaniem Wydziału — pisze Pan dr Tadeusz Lewy — produkcja szkieł kontaktowych powinien (podkr. redakcji) zająć się przemysł optyczny”. Toć to sposób myślenia zwany od lat spychotechniką. To nie my, to tamci — góra winna. Nas rozgrzesza to od jakiegokolwiek działania i zwalnia od wszelkiego obowiązku, pozostawiając samą tylko czystą radość urzędowania.

Redakcja, wysyłając pismo do kierownika Wydziału Zdrowia z prośbą o zajęcie stanowiska w tej sprawie — spodziewała się pomocy, otrzymała natomiast upomnienie, iż „takie artykuły więcej mogą uczynić zła niż dobra”. Zapytujemy — komu mogą uczynić? Chyba nie społeczeństwu, nie pacjentom, nie ludziom chorym. A jeśli idzie o ten czy inny wysoki urząd, nie sądzimy, żeby było to społeczeństwo szkodliwe.

I na zakończenie jeszcze — sprawa importu miękkich szkieł kontaktowych z Czechosłowacji, o których jest wzmianka w odpowiedzi kierownika Wydziału Zdrowia. Szkła te — o czym zapewne wiadomo jest autorowi odpowiedzi jako lekarzowi — w cięższych przypadkach niektórych chorób oczu nie nadają się do noszenia. Poza tym niewielu jest w naszym kraju specjalistów, którzy potrafili te szkła dopasowywać pacjentom. Tak więc rzecz nie w imporcie samego produktu, lecz w szkoleniu specjalistów. No i rzecz w tym, żeby nie sugerować, iż import załatwia całkowicie problem, gdyż my nazywamy to w języku dziennikarskim dezorientacją opinii publicznej.

Nie przyjmujemy również do wiadomości zapewnienia, „że jedne, nawet „złote ręce” też tego problemu w skali miasta na pewno nie rozwiążą”, ponieważ okazuje się, że dotąd jednak rozwiązywały. I to nie tylko w skali miasta. Dodajmy jeszcze że złote ręce są kruszcem zbyt cennym, by je obezwładniać.

Jesteśmy przekonani, że znajdują się w Łodzi naprawdę odpowiedzialnie czynniki i odpowiedzialne osoby, które tę sprawę załatwią.

REDAKCJA

## Pismo premiera

# Piotra Jaroszewicza

PREZES RADY MINISTRÓW,  
Nr P-130/58/71

Warszawa, dnia 22 kwietnia 1971 r.

Obywatele Ministrów  
i Kierownicy Urzędów Centralnych

Spoleczeństwo powinno być w szerszym niż dotychczas stopniu informowane o zamierzeniach i pracy Rządu oraz całej administracji państwowej i gospodarczej.

Konieczne jest więc rozszerzenie zasięgu, a także form i metod informacji resortów dla prasy, radia i telewizji, a tym samym dla szerokiej rzeszy obywateli. Współdziałania ze środkami masowego przekazu nie należy ograniczać tylko do sporadycznych wywiadów. Wskazane jest utrzymywanie stałych i systematycznych kontaktów z prasą, radiem i telewizją, częste bezpośrednie ich informowanie o pracach resortu, organizowanie spotkań, na których byłyby omawiane zagadnienia nurlujące społeczeństwo oraz udzielanie odpowiedzi na zadawane pytania.

Przedstawicielom prasy, radia i telewizji należy ułatwiać kontakty z zakładami pracy i uzyskiwanie na miejscu — w kierownictwie i u członków załogi — rzeczowej informacji o pracy i zagadnieniach socjalnych zakładu, interesujących opinię publiczną a nie stanowiących przedmiotu tajemnicy przemysłowej i gospodarczej.

W sprawach wiążących się ściśle z kierunkami pracy Rządu jako całości, w celu zapewnienia wszechstronnego i należytego ich naświetlenia, Prezydium Rządu będzie systematycznie informowało prasę, radio i telewizję poprzez Rzecznika Prasowego Rządu.

Informacje Obywateli Ministrów (Kierowników Urzędów Centralnych) dla środków masowego przekazu, dotyczące tych zagadnień, a szczególnie ogólnokrajowej polityki gospodarczej i społecznej oraz związanych z nią przedsięwzięć resortowych o charakterze generalnym (np. generalnych kierunków rozwoju branż i gałęzi gospodarki, polityki płac, cen, handlu zagranicznego itp.) powinny być uprzednio konsultowane z właściwym Wiceprezesa Rady Ministrów bądź Rzecznikiem Prasowym Rządu. Nie wymagają konsultacji sprawy, pozostające wyłącznie w gestii danego resortu. Organizowane przez resorty konferencje prasowe powinny być uprzednio uzgodnione z Rzecznikiem Prasowym Rządu.

Ustalenia w przedmiocie udzielania informacji dla prasy, radia i telewizji, zamieszczone w protokole z posiedzenia Rady Ministrów w dniu 16 października 1970 r., stają się nieaktualne.

PREZES RADY MINISTRÓW  
(—) Piotr Jaroszewicz

Za zgodność: Dyrektor Biura Prezydzialnego Urzędu Rady Ministrów, mgr Janusz Bielski.

## Dalsze listy do redakcji

### dotyczące artykułu „Optyk i zaćma”

#### DROGA REDAKCJO!

Po przeczytaniu artykułu „Optyk i zaćma” postanowiłam i ja napisać do was, w imieniu swego dwudziestoletniego brata. Profesor, wykonujący operację, skierował go do Spółdzielni Lekarzy w Łodzi po tzw. szkła kontaktowe. Szkła te wykonał w 1967 roku optyk M. Borchardt. Dzięki temu brat odzyskał pełne widzenie, mógł ukończyć szkołę, zdobył zawód (pracuje jako tokarz). Niestety, przed kilku dniami jedno ze szkieł zgubił. Natychmiast pojechał do Łodzi, do Spółdzielni Lekarzy, gdzie dowiedział się, że Spółdzielnia ta soczewek takich już nie wykonuje. Zwrócił się do optyka Borchardta, który poinformował go, że Spółdzielnia rozwiązała z nim umowę i nic mu pomóc nie może.

Proszę bardzo pana Redaktora, o dopomożenie memu bratu i innym, znajdującym się w tej sytuacji, co brat oraz o przemówienie do rozumu tym osobom, które wydały tak bzdurną decyzję.

Brat w tej chwili jest ciężko załamany. Widzenie bez szkieł bardzo się pogorszyło i pogarsza z każdym dniem. Ma poważne trudności w pracy, załamuje

się psychicznie i „błogosławi” tych, którzy wydali taką decyzję. Jeszcze raz proszę w imieniu brata o pomoc i naprawdę rozsądną rozpatrzenie tej sprawy  
KRYSZYNA ŁĄCKA

#### KOCHANY PANIE!

Akurat w przeddzień niedoszłej operacji wpadł mi w ręce artykuł red. Badziaka w „Odgłosach”. Wyznałem, że byłem wstrząśnięty, zresztą nie tylko ja — ponieważ zapoznałem z jego treścią całą klinikę WAM, łącząc nie z lekarzami. Cóż za świąństwo!!! Oto zgodna opinia wszystkich i pierwsza naturalna reakcja. A druga: co będzie z nami, którzy przecież w tak dużym stopniu możemy pracować tylko dzięki Panu. To przecież niemożliwe, aby można było zniszczyć człowieka tylko dlatego, że jest jedynym specjalistą w Polsce. Tutaj chorzy mnie pytają, czy robi Pan soczewki z plastiku do okularów, czy to Panu wolno. Wiem, że przeżywa Pan ciężkie chwile, ale proszę mi wierzyć, że nie jest Pan osamotniony. My wszyscy, którym umożliwił Pan niemal normalne widzenie, a w każdym razie złagodził w dużym stopniu to najstraszliwsze chyba z kankactw, my wszyscy, którzy

doznaliśmy Pańskiej życzliwości, serdecznej i bezinteresownej opieki — jesteśmy z Panem. Łącząc bardzo wiele serdeczności i wyrazów szczerzego szacunku.

MIECZYSLAW P.  
(nazwisko i adres  
znane redakcji)

#### SZANOWNY REDAKTORZE!

Czytając „Odgłosy” zainteresowałam mnie artykuł Karola Badziaka, „Optyk i zaćma”. Otóż 30 marca ub roku moja 13-letnia córka uległa wypadkowi przecięcia tętnówki. Groziła jej ślepotą prawego oka. Dzięki przeprowadzonej operacji oko zostało uratowane. Nastąpiło jednak około 75 proc. utraty wzroku. Wszystkie przedmioty córka widziała podwójnie. Nie pomagały żadne okulary. I tu przyszedł mi z pomocą pan Marian Borchardt. Według wskazań lekarza wykonał szkło kontaktowe, które wpłynęło korzystnie na wzmocnienie wzroku. Zahamowane zostało postępujące w kierunku odśrodkowym krzywienie się oka, którego, według opinii lekarzy, nie była w stanie naprawić żadna operacja.

ZDZISŁAW PRZYBYLSKI

#### REDAKCJA „ODGŁOSÓW” W MIEJSCU

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w Wa-

szym Tygodniku (nr 20 (704) z dnia 16.5.71 r.) artykuł Karola Badziaka pt. „Optyk i zaćma”. Ponieważ od kilku miesięcy sprawa, którą porusza red. Badziak, spędza mi sen z powiek, chciałbym i ja dorzucić słów kilka do wyżej wspomnianego artykułu.

Od lat około dziesięciu cierpię na stożki rogówek. W ostatnich latach wzrok pogorszył mi się do tego stopnia, że w najlepiej dobranych okularach nie mogłem czytać, a poruszanie się w ruchliwym mieście sprawowało mi wielką trudność. W tej sytuacji zacząłem szukać pomocy u najwybitniejszych lekarzy okulistów, aż wreszcie trafiłem do konsultanta krajowego, prof. dr Tadeusza Krwawicza. Diagnoza, którą postawił prof. Krwawicz była krótka: stożki rogówek, należy w pierwszym rzędzie zastosować szkła kontaktowe, jeżeli „przyjmą się” sprawa będzie rozwiązana, w przeciwnym razie transplantacja rogówki. Nie należy chyba podkreślać, że każda operacja kryje w sobie pewne ryzyko i nie można z góry gwarantować powodzenia.

Ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że właśnie u nas, w Łodzi, jako jedyny w Polsce, wykonuje te szkła optyk, Marian Borchardt. Długa była moja droga do Spółdzielni Pracy Lekarzy Specjalistów na ul. Piotrkowskiej 5, wiodła ona bowiem przez Lublin. Oka-

zuje się, że Marian Borchardt jest znany dużo lepiej poza granicami Łodzi niż u nas.

Po przeprowadzeniu odpowiednich badań trafiliem wreszcie do Mariana Borchardta. Dzień, w którym przekroczyłem próg Jego pracowni, na trwałe zapisał się w mojej pamięci. Było to przeszło dwa lata temu. Szkła kontaktowe, które założył mi wówczas na oczy, zmieniły mi świat jak czarowna różdżka. Odzyskałem z powrotem normalne widzenie. Plakałem z radości jak małe dziecko. Radość jednak była krótka, gdyż oczy znosiły zbyt krótko obce ciało. Po kilku minutach szkła trzeba było wyjąć. Teraz czekał mnie długi okres cierpliwości i przyzwyczajania oczu do szkieł. W tym właśnie okresie poznałem Mariana Borchardta nie tylko jako wybitnego specjalistę optyka, lecz również jako głęboko humanitarnego człowieka. Trudno jest mi w tej chwili przypomnieć sobie, ile razy przypominał mi siebie w pracowni, zdejmował i zakładał szkła, a przy tym podtrzymywał na duchu i pomagał przetrwać trudny okres adaptacji szkieł. Trwało to chyba około dwóch miesięcy, po kilka wizyt w tygodniu. W czasie tych wizyt spotykałem ludzi z różnych stron kraju, o różnych zawodach, których łączyła jedna wspólna cecha — poważna wada wzroku z jednej strony i ogromna wdzięczność w stosunku do

Mariana Borchardta — a drugiej. Wszystkich przyjmował bardzo życzliwie. Pytanie: czy pobierał honorarium za te wizyty? Nie. Jego zadawało to, że mógł pomóc ludziom.

Obecnie noszę szkła po kilka godzin dziennie. Umożliwiło mi to normalną pracę. Kilka miesięcy temu zaistniała jednak potrzeba małej korekcji szkieł. Poszedłem do Spółdzielni Lekarzy i tu dowiedziałem się, że została rozwiązana umowa z M. Borchardtem. Mam jeszcze stare szkła kontaktowe. Nie wiem jeszcze, jak długo będą mogły mi służyć. Przeróżająca jest jednak dla mnie myśl o chwili, w której soczewki ulegną całkowitemu zużyciu. Czeka mnie wówczas renta inwalidzka w wieku lat trzydziestu kilku.

Nie jestem prawnikiem i nie potrafię rozeznąć się w gąszczu niejednokrotnie sprzecznych ze sobą przepisów. Jest jednak dla mnie zupełnie niezrozumiałą rzeczą, jak można wymówić pracę jedynemu w kraju specjalistcie, nie troszcząc się o ludzi, którzy bez szkieł nie mogą nigdy powrócić do czynnego życia.

Aspoleczna postawa ludzi, winnych zwolnienia Mariana Borchardta, jest godna napiętnowania.

ADIUNKT  
UNIERSYTETU  
ŁÓDZKIEGO  
(nazwisko i adres  
znane redakcji)

# Raport z posiedzenia komisji

Nie było w dziejach Łodzi ani jednej komisji, której prace tak żywo śledziłby każdy Łodzianin z tchem niemal zapartym. Powołano ją na najwyższym szczeblu i to tworzy jej rangę. Dotyczy spraw obchodzących każdego z nas — i to jest owa strona emocjonalna. Już wkrótce komisja ma ostаточно przedstawić wyniki swej pracy — obraz Łodzi, jej funkcji służących mieszkańcom na co dzień, jej przemysłu i całej gospodarki komunalnej. Na jakim etapie jesteśmy w tej chwili? Oto próba sfotografowania jednego posiedzenia komisji. Uczestniczyli w nim rzecznicy interesów miasta, członkowie komisji i jej przewodniczący — wicepremier.

Najpierw ogólna ocena sytuacji: w latach 1971-75 miasto otrzymało o 64 proc. środków więcej niż w poprzedniej 5-lacie. W tych procentach wzrostu mieści się zwiększony program rozwoju socjalnego miasta. Jest to też zdecydowany krok naprzód, jeśli chodzi o likwidację zacofania w łódzkim przemyśle. Takiego tempa wzrostu nakładów z jednego 5-lecia na drugie w Łodzi jeszcze nie było. Stąd wnioski: jest pilnie potrzebny harmonogram planów modernizacji Łodzi i jej przemysłu na okres do 1975 roku, potrzeba szybkiego rozwoju zaplecza projektowego, zaplecza zaopatrzeniowego budownictwa. Pilnie potrzebne są sprawniejsze i bardziej sprawdzalne (niż niektóre z dotychczas stosowanych) technologie budowy domów i fabryk. Wchodzi w rachubę duże kubatury budownictwa przemysłowego — blisko pół mln m sześć. — i to zarówno w konstrukcjach lekkich, stalowych, jak i tradycyjnych (beton, żelbeton), ale i te konstrukcje, niby tradycyjne, mają być nowoczesne i lekkie. Trzeba będzie stosować także elementy tzw. zunifikowane — po-

prostu, aby było jak najmniej prototypów, aby można było budować znacznie szybciej niż dotychczas.

W budownictwie mieszkaniowym zasadniczą metodą powinna być metoda szczecińska, a więc metoda, którą w praktyce realizować będzie budująca się obecnie na Teofilowie łódzka fabryka domów, oparta o radziecką dokumentację, o radzieckie, w znacznej mierze, dostawy materiałów konstrukcyjnych. Metoda szczecińska jest jedną z najlepszych, gwarantuje mieszkania bardziej funkcjonalne i nowoczesne niż budowaliśmy dotychczas.

I projektanci będą mieć pełne ręce roboty — już dziś np. widać konieczność przerobienia pewnych projektów w budownictwie przemysłowym po to, aby rezygnując tu i ówdzie z cech tzw. indywidualności twórczej, uzyskać efekt szybkości. Dotyczy to nowych zakładów produkcyjnych i to zakładów, dających od razu duże ilości wyrobów na rynek, a także nowe miejsca pracy dla „wyżu demograficznego”, który w omawianym okresie ma wejść potężną falą, blisko 2-milionową, do fabryk w całym kraju. Zadaniem pilnym jest jednocześnie plan likwidacji obiektów zużytych technicznie, których dalsza eksploatacja nie oplaci się.

To byłby zarys programu. Czy zdołano w nim uwzględnić wszystko, co w Łodzi najpilniejsze? Trzeba by np. jeszcze włączyć do programu sprawy oczyszczalni ścieków, budowy nowej odlewni dla ZM im. Strzelczyka, bo stara odlewnia przeszkadza od lat odkładanym planom rozwoju linii komunikacyjnych północ-południe, sprawy centrali telefonicznej na Teofilowie, i jeszcze dwa proble-

my: jak ma wyglądać przyszłość produkcyjna takich zakładów jak „Fonica”, Łódzka Fabryka Zegarów, Zakłady Kserotechniczne oraz problem zapowiadanego w Łodzi od lat rozwoju przemysłu maszyn włókienniczych.

Przemysł łódzki, głównie włókienniczy, ma być wiodący wśród przemysłów włókienniczych w kraju, ma ku temu wszystkie szanse — bogate zaplecze naukowo-techniczne, coraz wyraźniejsze jest w Łodzi przekonanie o nowym wyrobie (np. tkaninopodobne), unowocześnione dziewiarstwo. Do zupełnego szczęścia brak jest jednak jeszcze przysiołowej litery „B”, którą trzeba wypowiedzieć, gdy się powiedzieli „A”. Tym „B” jest szybki rozwój krajowego przemysłu maszyn włókienniczych, który, jak dotąd, zaspokoja jedynie około 20 proc. zapotrzebowania fabryk włókienniczych na maszyny i urządzenia.

Miejmy nadzieję, że i to zostanie dopowiedziane, wszyskie powiem raczej się za tym, aby w rezerwie przemysłu maszynowego w naszym kraju produkcja maszyn włókienniczych przestała być zjawiskiem marginalnym — jak to powiedział na posiedzeniu komisji min. przemysłu lekkiego — austryjski, nie uciekając się do drogiego importu, zdecydowanie szybciej zmodernizować przemysł lekki. A jak zauważył wicepremier — jest to w rezerwie maszynowym jedna z najbardziej opłacalnych i antyimportowych produkcji.

Ale nad sprawą powyżej tylko zasygnalizowaną — sprawą wyłączenia z eksploatacji przestarzałych fabryk — nie można za szybko przechodzić do porządku dziennego. Nie można, bo wiąże się ona z całym kompleksem zagań, nazwanych skrótowym hasłem „człowiek”. Ten człowiek, który przestanie pracować w fabryce rozbieranej czy przeznaczanej na magazyny lub usługi, powinien, z odpowiednim wyprzedzeniem w czasie, wiedzieć o dalszym swym losie, dokąd pójdzie, co będzie robił w przyszłości. Stąd — równoległa konieczność społeczna: dokładny harmonogram prac związanych z przejściem pracowników do innych gałęzi wytwarzania, przekwalifikowaniem, przyuczeniem ewentualnie do nowych technologii. Miasto dzięki uzyskaniu pewnej ilości sal produkcyjnych w zakładach, które jeszcze nie zostaną wyburzone, będzie mogło rozwinąć również niektóre usługi, tworząc nowe i tanie miejsca pracy.

Program, który rodzi się w bólach, bo przecież środki, które zaprzęgnięte zostaną do dzieła modernizacji miasta i jego przemysłu nie pójdą w okresie 1971-75 do innych miast i ośrodków, zmusza jednocześnie do nowego spojrzenia na współpracę wzajemną Łodzi i województwa. Przy całej równorzędności tych jednostek administracyjnych zarysowała się potrzeba zacieśnienia więzów w różnorodnych dziedzinach: w kooperacji przemysłowej, a to z uwagi na jednorodność przeważającej części fabryk (przemysł lekki), w sferze zaopatrzenia robotniczej Łodzi w artykuły produkcji rolniczej,

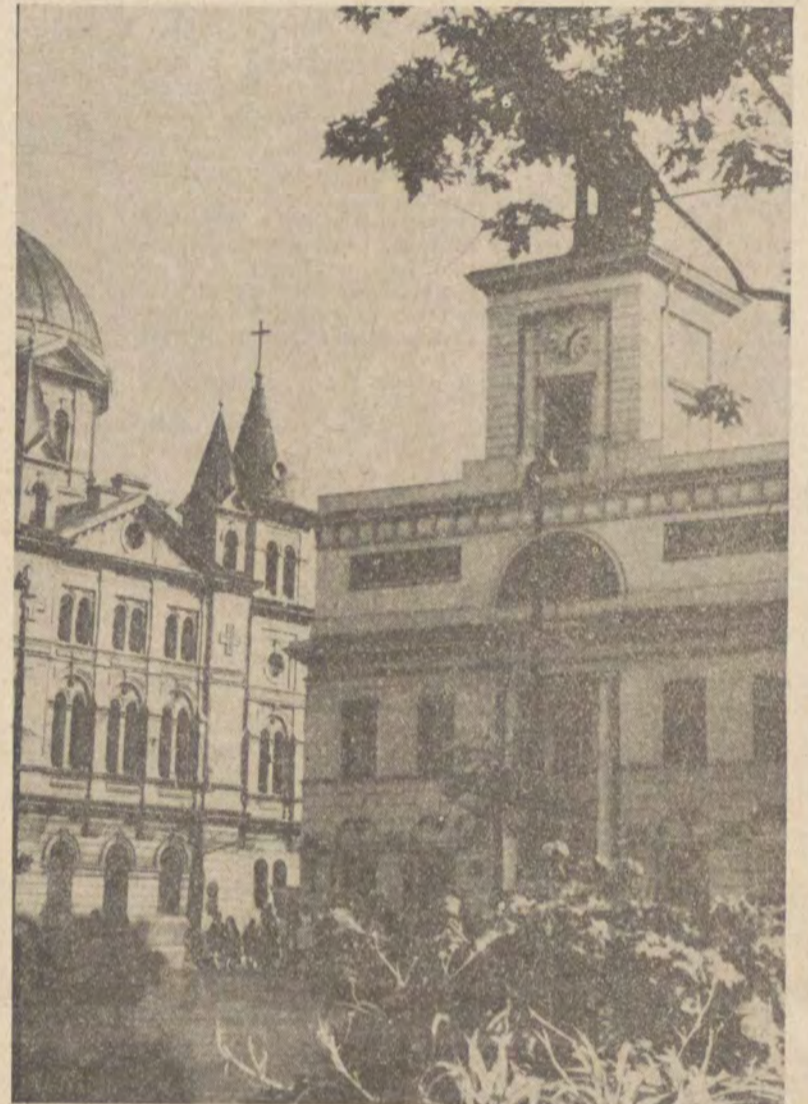
w zakresie organizacji i zagospodarowywania miejscowości wypoczynkowych i wczasowych.

Kooperacja przemysłowa — jeśli już trzeba wozic przędzę do innych fabryk, które nie mają co robić z krosnami, to takie wożenie półfabrykatów wyniesie taniej, na trasie Łódź — Pabianice, czy Piotrków, niż Łódź — Białystok, czy Bielawa. Współpraca na rzecz bazy rekreacyjno-wypoczynkowej — to dla ludzi pracy w Łodzi poważne zwiększenie możliwości spędzenia świat czy niedziel na świeżym powietrzu, a dla miejscowości i ośrodków w województwie — zwrotny punkt w szybkim rozwoju, prawdziwy nieraz awans. Pewna obserwacja budzi szcze-

idealna, gdyby warunki i sytuacje ukształtowane historycznie przecięt, były wszędzie jednakowe.

Ale wiemy, jak to jest. Różne są wielkości zaniedbań w różnych dziedzinach życia mieszkańców w Łodzi i w innych ośrodkach. Więc nie metoda statystyczna, a ocena rzeczywistych i najpilniejszych potrzeb. Ich zaspokojenie ma przecięt zbliżyć miasto zaledwie do wskaźników w kraju przeciętnych.

Członkowie komisji — reprezentanci resortów — zarzucili w swym działaniu metody statystyczne. Starają się, charakteryzując udział poszczególnych działów naszej gospodarki w modernizacji Łodzi, rozumieć nasze miasto, a



Fot. W. Parys

gólny optymizm. Ze mianowicie w kreśleniu obrazu najbliższej przyszłości miasta ucieka się do statystycznych metod przeznaczania środków na jego modernizację. Łodzianie, działacze związani najczęściej emocjonalnie z tym miastem, metody statystycznej nie lubią. Nie można bowiem ocenić istotnych potrzeb Łodzi, tylko w oparciu o wynik mnożenia przez ilość głów. Ta metoda byłaby

nie tylko przeliczać. Widzą przed sobą 760-tysięczne miasto, okropnie zaniedbane w przeszłości, widzą najwyższe krajowe wskaźniki zatrudnienia w przemyśle i najwyższe krajowe wskaźniki zatrudnienia kobiet. Widzą też bezkrowno dowożące wodę do niektórych dzielnic i wyciągają wnioski z faktu, że 30 proc. mieszkań w Łodzi to jeszcze nadal mieszkania 1-izbowe.

## Lawina runęła nie od Tatr

Dalszy ciąg ze strony 1

go hałasu, wspomagane przez tysiące samochodów prywatnych i motocykli. Teren wzdłuż arterii komunikacyjnych, nasycony gazami z akroleiną o specyficznym zapachu, drażniącym śluzówki oczne, atakującą głównie drogi oddechowe. Och, to nie wszystko. 4 tys. budynków miejskich spala 50 tys. ton opalu — koksu i węgla. Czad i związki ołowiu — tru-

cinzny spalinowe — unoszą się gęstą chmurą nad zakopiańską kotliną. W mieszaninie popiołu, sadzy i gazów jak w pochłaniaczu giną słoneczne promienie ultrafioletowe...

Naprzeciwko gmachu poczty, naprzeciwko hotelu Orbisu — usytuowanego narożnie przy ul. Kościuszki i Krupówek na przekątną do Banku Spółdzielczego wielka koparka wydrążyła ogromny dół. Tu powstaje hotel-gigant ultrano-

woczesny: 140 miejsc, restauracja, bar, klub, wypożyczalnia sprzętu sportowego, taras do opalania i solarium na dachu. Sama rozkosz. „Życie Gospodarcze” z kwietnia w rubryce „Zywocik gospodarczy” tak kwituje nową inwestycję: „... Mamy wątpliwości, czy lokalizacja jest słuszna. Lepiej byłoby wybudować hotel w centrum Katowic, gdzie jest lepsze powietrze niż w Zakopanem na Krupówkach. Zakrawa to już na obłąd. Rejon podgórski jest słabo zagospodarowany, a wszystkie inwestycje pcha się do Zakopanego, które tak przypomina kurort, jak Łódź — Łazurów Wybrzeże”.

Obłędne pomysły, dotyczące Zakopanego są specjalnością różnego autorstwa.

Zakopanem rządzi wszyscy, natomiast najmniej chyba władze samego Zakopanego.

Miasto jest dziś klinicznym przykładem pokraczności i wszystko wskazuje na to, że pokraczność stanie się trwałym jego stylem. Jakże daleko jesteśmy od czasów, kiedy rządy sprawowało Towarzystwo Tatrzańskie, jakże

daleko od statutu zdrojowiska (1876 r.). Kości zachnych zakopiańczyków, którzy tworzyli klimat intelektualny i styl Zakopanego próchnieją na cmentarzu zasłużonych przy ul. Kościeliskiej. Niszczycie sama ulica — najstarsza dzielnica — stanowiąca sama w sobie zabytek wysokiej klasy. Jakże smutna jest ta ulica. Jezdnia składa się z samych dziur. Tysiące aut mkną jej szlakiem dojazdowym do najpiękniejszych z dolin: Chochołowskiej, Kościeliskiej. Tędy jedzie się dalej — do Chochołowa, Witowa. Znakomici turyści, wielbiący zmotoryzowany styl podziwiania Tatr za szyb wylotowych aut, „zaliczają” co znaczniejsze obiekty w tempie i stylu odległym i obcym czasem rozslawionym przez pionierów Tatr. Gdyby dziś przyszło tworzyć Karłowiczowi czy Szymanowskiemu, niepowtarzalnie melodie oparłyby się na motywach rwetetu motoryzacji, a obrazy Wyczółkowskiego, Malczewskiego i innych dymilyby spalinami.

Kiedy się to wszystko zaczęło? Skąd poszła lawina, niszcząca

piękno tatrzańskiego zakątka? Czy w 1899 roku, kiedy wybudowano linię kolejową z Krakowa? To spowodowało żywiołową rozbudowę miasta — rozbudowę tandetną i brzydka według jedyne w swym rodzaju stylu: koniunktury wywyższonej, przez spryciarzy: pensjonaty — dziwadła, bez ładu i składu mnożyły się dziesiątkami i rozrastały w sobie zakamarkami, w których każde łóżko staowało się maszynką do rozbicia pieniędzy. Budowano też sanatoria na nie przygotowanych terenach z niezłomną wiarą, że tatrzańskie powietrze wyleczy gruźlicę bez pomocy farmakologii.

Miało być Zakopane uzdrowiskiem? Scierały się poglądy na jego rolę. Wreszcie zwyciężyła koncepcja ośrodka sportu, turystyki i wypoczynku. Zakopane stało się po ostatniej wojnie własnością społeczną. A jednak lawina toczyła się dalej. Sportowa ranga Zakopanego utrwalała została międzynarodowymi spotkaniami. Rok 1958. W czerwcu Rada Ministrów podejmuje uchwałę o rozwoju Zakopanego i okręgu tatrzańskiego w latach 1958—60. Ustalono zakres zadań inwestycyjnych dla swo-

# Moje trzy grosze

Dalszy ciąg ze str. 1

li wcale nie lepsi, mało co robią, a przy tym biją się z reguły w cudze plecy. Słowem jak o owej starej ciocie, która wszystko wszystkim ma za złe — ani jednego promyka w naszym życiu kulturalnym.

Myślę, że tak dyskutować już nie powinniśmy, nie należy używać mglistych terminów zaczerpniętych z meteorologii jak — klimat, gęsta atmosfera, należy natomiast w dzisiejszej sytuacji mówić konkretnie co już mamy, czego zaś brak.

Rejestr naszych braków znamy aż nadto dobrze. Bardzo liczne, ciekawe, zaskakujące osiągnięciami — łódzkie środowisko plastyczne, nie ma w gruncie rzeczy gdzie wystawiać. Łódź nie może przyciągnąć żadnej poważniejszej wystawy malarstwa, Muzeum Sztuki, prawdziwa rewelacja, dusi się, eksponuje ledwie cząstkę swoich zasobów, źle stoi z Domami Kultury, z kinami łódzkimi prawdziwa tragedia, brakuje co najmniej dziesięciu przyzwoitych kin, układ placówek kulturalnych w Łodzi postawiony trochę na głowie, całe dzielnice pozbawione są elementarnych placówek kultury. Wszystko to prawda. Prawdą jest również, że nam szybko rośnie Łódzki Oddział Związku Literatów, rozwijają się: Koło Młodych i Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZMW, nasz Uniwersytet obrodził w bardzo utalentowanych krytyków i historyków literatury, a miasto nie posiada nawet miesięcznika. W tym względzie trzeba i Wacławowi Bilińskiemu i Janowi Koprowskiemu przyznać rację. Dzieje się coś nienormalnego, miesięczniki posiadają już niemal wszystkie wojewódzkie ośrodki. „Osnowa” dogorywa? Lepiej powiedzieć, że wyrosliśmy z krótkich portek, nie ma żadnego powodu, żeby do pięciuset czytelników dopłacać czterysta tysięcy złotych, kwartalnik jest najbardziej niewydarzonym tworem, ani to książka ani czasopismo.

I tak można by bez końca powiększać rejestr braków. Mogą one rzecz prosta dotyczyć także i ludzi, zwłaszcza ludzi niekompetentnych, którzy z przypadku parają się pracą kulturalną. Lecz my to znamy aż nadto dobrze i żadną jest dzisiaj odwaga takie rejestry przytaczać. Bardzo mi się artykuł Koprowskiego podobał, gdyż jest sprawiedliwy, ukazuje nie tylko smutne strony naszej kulturalnej niwy, prawdziwe osie łączy, ale także i realne osiągnięcia. Może jeszcze zbyt skromne, ale przecież własne, nie zapożyczone, autentycznie łódzkie.

Sięgnąłbym wyżej niż to czyni Wacław Biliński, boć przecie trzeba było bardzo

dramatycznych wydarzeń w Łodzi, aby wreszcie właśnie tam wyżej zdano sobie i z tego sprawę, że jest to miasto skazywane dotąd na trzeciorzędność. Dzieje łódzkie inwestycji przez całe lata ograniczanych, lub skreślanych, są tu przykładem smutnym, ale dobrze ową trzeciorzędność ilustrującym. Czego się nie tknąć — zawsze byliśmy przy końcu, począwszy od budownictwa akademickiego, poprzez sprawę drugiej nitki rurociągu, na letnim wypoczynku dzieci włókniarzy kończąc. Nawet stawka na wyżywienie szpitalne należała w Łodzi do najniższych, standardy mieszkaniowe także do najniższych. Nie za wszystko należy winić tych, którzy w Łodzi pozostali, często zapominali o niej znacznie ważniejsi, których Łódź wychowała, a oni poszli w ministery, zostawiali wielkimi przewodniczącymi i popierali koncepcję rodzinnego miasta, jako ośrodka rangi co najwyżej trzeciej. Kiedy przedstawiciele miasta mówili, że nie ma odpowiednich tramwajów — przewodniczący odpowiedział, żebyśmy sobie przepitowali osie i poszerzyli w ten sposób tramwaje, zwięź tak — że można. Kiedy mówili, że nam szpitali brak i stawka żywieniowa za mała, pan minister odpowiedział, że u nas chorób wenerycznych za dużo i trzeba się nimi zająć, a nie żądać pieniędzy. Mógłbym tu jeszcze co nieco smutnego powiedzieć o budowie nowych pomieszczeń dla Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, jedynej w kraju tak silnie powiązanej z przemysłem, myślę wszakże, że dość już przykładów.

We wczesnych latach szkolnych „pani od polskiego” nauczyła nas takiego wierszyka:

A Warszawa miasto duże,  
Stoi sobie na górze,  
Ona matką jest Polaków,  
A ich ojcem stary Kraków.

O Łodzi ani słowa. Coś się z tego powtórzyło, trzymała się Łódź natrętnie legenda o złym mieście, niby wielkim a jednak co najwyżej trzeciorzędnym, Łódź może ubierać, powinna ubierać, ale do tworzenia wartości kulturalnych są inne miasta. Biliński ma jednak sporo racji, na tę legendę my także zapracowaliśmy. Dzielimy jednak winy sprawiedliwie, bijmy się we własne plecy, ale i w plecy tych którzy wydają nie nazbyt słusne wyroki na blisko milionowe skupisko pracujących ludzi.

WIESŁAW JAZDZIŃSKI



Fot. W. Parys

## POLONICA

### ORATORIUM PENDERECKIEGO

W katedrze w Münster (NRF) odbyło się prawykonanie drugiej części Oratorium Krzysztofa Pendereckiego pt. „Zmartwychwstanie Chrystusa”. Oratorium, składające się z dwu części, napisał kompozytor na zamówienie rozgłośni zachodniemieckiego radia w Kolonii. Pierwszą część pt. „Złożenie Chrystusa do grobu” wykonano w katedrze Altenberg w 1970 roku. „Neue Zürcher Zeitung” (9 czerwca br.), przynosi recenzję z obecnego wykonania, pióra Wolfa-Eberharda von Lewinskiego, w której czytamy m. innymi: „W wypełnionej po brzegi katedrze munsterskiej — w której znaleźli się rzeczywiście nie tylko fachowcy — odbyło się niezapom-

niane wykonanie utworu, którego rangi artystycznej nie podejmuję się ocenić. Pod kierownictwem Andrzeja Markowskiego śpiewali wybitni soliści (Stefania Wojtowicz, Krystyna Szczepańska, Louis Devos, Bernard Ladysz, Boris Carnell), chór rozgłośni radiowej w Kolonii i Hamburgu jak również chór chłopięcy z Tolz. Grała orkiestra radia kolonńskiego. Nie będzie łatwo doprowadzić do drugiej równie udanej prezentacji tego utworu”.

Jak widzimy, Krzysztof Penderecki święci wciąż triumfy w Europie. Okazuje się też, że można tworzyć na zamówienie i to tworzyć dobrze.

jk.

### NOWY FILM SKOLIMOWSKIEGO

Najnowszy film Jerzego Skolimowskiego pt. „Deep End” co można by przetłumaczyć „Taki koniec”, zdobywa sobie e-

krany kin europejskich. O filmie tym, nakreconym w Londynie i Monachium, jego twórca powiedział m. innymi: „Chciałem pokazać jak zwykle, codzienne życie może doprowadzić do tragedii. Jak to się dzieje, że piętnastoletni chłopiec zamordował dwudziestoletnią kobietę, nie mamy pojęcia o psychologicznych motywach tego czynu. Chcę pokazać, w jak naturalny sposób rozwija się coś takiego...” Prasa angielska i zachodniemiecka wypowiada się o filmie Jerzego Skolimowskiego z uznaniem. Recenzenci podkreślają, że „Deep End”, film na pozór łatwy, zawiera wiele głębokich i ciekawych scen, z doskonale podłożą ilustracją muzyczną.

jk.

## POLONICA

zenia miastu odpowiednich warunków działania — tak to określono. Wydano 400 mln złotych.

Narciarskie mistrzostwa świata w 1962 roku jeszcze bardziej spopularyzowały Zakopane. I nadal trwała rozbudowa chaotyczna i nieskoordynowana. W krajobraz Tatr wmurowano wzory powielane w całym kraju. I cały kraj jest tu reprezentowany. Nie tylko przez posiadaczy skierowań FWP — bywalców ponad 40 domów wypoczynkowych. To są w większości pariasi, którzy dziesięciotowym biletem uzyskują prawo do korzystania z wieczornych rozrywk w kawiarni nowoczesnego, luksusowego „Hyrnego”, najnowocześniejszego reprezentanta bogactwa związków zawodowych. Inni przyjeżdżają do własnych willi lub do prywatnych pensjonatów, w których łóżko kosztuje dziś i 50 złotych na dobę. Jeszcze inni do własnych willi, budowanych systemem „gospodarczym”, jak głoszą tablice na nowych placach budowy. A placów jest ciągle sporo. Wydział Budownictwa i Architektury daje zezwolenia na budowę. Jeżeli parcela jest budowlana, a właściciel posiada dokumentację, przeszkód w zasadzie

nie ma. Zresztą jeżeli tutejszy wydział nie wyraża zgody — główny dyspozytor, Woj. RN w Krakowie uwzględni odwołanie i sprawa załatwiona.

A ustalenie planów urbanistycznych, przestrzennych, przecież to obowiązuje! I obowiązuje i nie. Ustalenia są po to, aby je zmieniać. Plan urbanistyczny Zakopanego zakładał, że miasto do 1980 roku nie powinno mieć więcej niż 30 tys. mieszkańców (dzisiaj ma 27 tysięcy stałych), a budownictwo indywidualne będzie honorowane tylko dla potrzeb odtwarzania niszczącej substancji mieszkaniowej. Ustalenia tego planu zostały złamane dowolnością gospodarowania wszystkich — lecz nie samych gospodarzy. Dowodem tego niech będzie suma około 2 milionów złotych, które miasto zbiera od wczasowiczów i turystów każdego roku. Zbiera i odprowadza do budżetu centralnego. Wraca to potem częściowo jako dotacje na różne cele, ale na jakie? Na parkingi? Budownictwo mieszkaniowe? Niedawno MRN podsumowała na plenarnej sesji potrzeby miasta: 1.300 rodzin czeka na mieszkania; zaopatrzenie miasta w wodę pitną — nie załatwione.

Remonty — leżą (brak wykonawcy, ale indywidualne domki nie cierpią na ten brak), kanalizacja — jeden brud, drogi — same dziury, mosty na 52 tylko 15 stałych, reszta, to rozpadające się drewno, kładki powichrowane, przez które — Boże chroń od pożaru — straż pożarna nie przejeżdża. 100 dzieci bez miejsc w przedszkolach, 1000 dzieci czeka na żłobki. Ponad 6 tysięcy młodzieży szkolnej nie ma basenu (na Antałówkę, kombinat basenowy, gdzie źródła cieką — nie zatwierdzono planu inwestycyjnego). Stan handlu — chodź i plaćkać po „normatywnej przestrzeni”, która czterokrotnie jest niższa od urzędowo nakazanych złotychkometrów. Sklepowa sieć też nie weszła do planu inwestycyjnego, ale za to Zakopane ma coś, czego w świecie nie znajdziesz: rynek — targowisko — ciucharnię i walucziarnię — mikrowieżę. Babel u stóp Gubałówki, nad śmiertczącym potoczkiem. 300 tys. turystów zagranicznych, odwiedzających rocznie Zakopane ma okazję nie tylko do wymiany starej koszuli polo na kierzce, ale także do obfotografowania niedostatków perły polskich Tatr.

Co robić, jak ratować Zakopane przed toczącą się lawiną pokraczności i zagłady biologicznej? I jak pogodzić jego rangę parku narodowego i wartości klimatycznych z nowoczesnością i funkcją ośrodka sportowo-turystyczno-wypoczynkowego?

Jest taki plan. Wcale nienowoty. Jego realizacja wymaga ponad miliarda złotych nakładów. Wizja Zakopanego układa się w obrazie pełnej izolacji uroczyska od agresji cywilizacji bez rezygnowania z jej dobrodziejstw. Mają one jednak kończyć się przed miastem, około Poronina, omijać miasto autostradą na południe, z dala od ul. Kościeliskiej, zatrzymując się parkingami odległymi od centrum. Więź komunikacyjna z miastem i wylotami do sławnych dolin opierać się ma na traktacji elektrycznej: „minivail”. W marzeniach ludzi miłujących Zakopane miłością jego odkrywców i piewców, przyjmuje ono formę piękna czystego, o nie skażonych walorach naturalnych, w pełni dostępnych, lecz z pietymem chronionych. To są marzenia, ale rzeczywistość wykrztwiała pysk nowymi murami hotelu

„Gromada” i stacją TOS tuż pod Nosalem. Zgroza. Niechże wreszcie ktoś położy kres rozbudowie Supermarketu pod mogiłą śpiących rycerzy w Tatrach. Może uda się to zrobić w ramach polsko-słowackiego planu zagospodarowania obszarów przygranicznych, które stanowią jedną całość przyrodniczą. Specjaliści konferowali już niejednokrotnie na ten temat, a myślą przewodnią debat było wykorzystanie, a jednocześnie ochrona przyrody, rezerwatów i parków narodowych. Od dawna istnieje współpraca w dziedzinie ochrony wód i powietrza. Partnerzy z Polski zwrócili ostatnio uwagę na zanieczyszczenie wód i powietrza w rejonie Cieszyzna. Czy nikt ze słowackich przyjaciół nie zwrócił uwagi na ten sam problem w Zakopanem? Jeżeli nasi specjaliści wizytują słowacką część Tatr, to powinni już dawno naśladować dobre przykłady zagospodarowania uroczysk górskich — chociażby podglądając Lomnicę.

Niech zapadnie nowa uchwała, powstrzymująca lawinę niszczenia, pędzącą na Zakopane nie od Tatr...

ZOFIA TARNOWSKA

**N**IECH sobie różni się zrymają, istnieje jednak więź pogody z nastrojem bohaterów lub bohaterów opowiadań, jakaś zależność. Piękna pogoda jak gdyby uszlachetnia, czasem nawet uwzniośla, niezależnie od tego czy jest to radość czy smutek. Złazcza jeśli pogoda zdarzy się wtedy, gdy nie możemy na nią za bardzo liczyć.

Nie liczył na nią zbytnio i Charyton Jakowlewicz, gdyż jego imieniny przypadły na dzień 13 października... tfu, tfu... to przecież nowy styl kalendarzowy, więc niech będzie po staremu, na dzień 28 września.

Charytonowi Jakowlewiczowi z całej bogatej przeszłości pozostał ten trzystuhektarowy, cokolwiek zaniedbany a za dobrych czasów w ogóle lekceważony majątek, skonfiskowany pewnemu Polakowi za udział w buncie 1863 roku, a oddany dziadkowi, który był generał-majorem i zasłużył się przy likwidowaniu oporu miateżników.

W głębi duszy Charyton Jakowlewicz nie mógł się nadziwić rządowi polskiemu — oto upłynęło dziesięć lat, majątku zaś mu nie odbierają. Widocznie i oni sami, ci z rządu, nie wierzą w trwałość śmiesznego państwa, które istnieje tylko dlatego, i od tej rzeki tam dalej na wschód aż dotąd panuje bolszewicki gierylasz. Zresztą, Polacy zawsze byli głupi i sentymentalni, gdyż w dodatku, ilekroć zjawia się w gminie, traktują go z szacunkiem. Nie jest to szacunek, z jakim spotykał się wśród swoich, gdy jako rzeczywisty radca stanu — Panie Boże, to już przecież była czwarta ranga w tabeli — występował w mundurowym fraku z wstęgą orderu na szyi.

Dzisiaj od rana również chodzi we fraku, choć ten pachnie naftaliną a ordery, niestety zaginęły w zawierusze i pożodze, o czym lepiej nie wspominać. Gdy go włożył, to aż musiał kilkakrotnie kichnąć. Kiedy jednak po śniadaniu w czasie którego wysłuchał życzeń od córek i syna, wyszedł z dworu na ganek, a następnie ruszył przez sad, w rześkim powietrzu frak powoli odzyskiwał dawną świeżość, a jego właściciel energię.

Trawa zwarzona przymrozkiem chrupała pod bucikami, blaszane dachy zabudowań matowo połyskiwały szronem. Błękit nieba nieomal jaskrawy trwał nieruchomo, w powietrzu czuło się tająnie przymrozka, co zapachem przypominało skoszona otawę. Gałęzi dzielnie trzymały się rdzawe, pokurczone liście, wśród tych liści widziało się nawet pojedyncze jabłka, rumiane jak gdyby z radośnej przekory, że dotąd udało się im ocalać, ale Charyton Jakowlewicz aż się zgorzyszył nieuwagą tych, co je na drzewach zostawili.

Gdy zatrzymał się pod opasłym świerkiem i wzrok z ruchliwej fali szerokiej rzeki, która mogłaby być żeglowna, gdyby nie piaszczyste lawice i skaliste progi, przenosił na rozległą okolicę po drugiej stronie, zapragnął żeby to lepiej była ponowa, bo to przecież w Rosji późna jesień i wystarczy wytyczyć słuch, by usłyszeć wesole trąbki polowania.

Ach, gdybyż raz jeszcze móc za taki dzień podziękować Bogu w Kazanskim Soborze, a potem, wracając Newskim Prospektem, nacieszywszy oczy iglicą Admiralicji — czekać u siebie, we własnej kamienicy w siedmiopokojowym apartamencie na gości.

Goście mieli przyjechać dopiero na uroczysty obiad. Przyjechać? Czym przyjechać? Przydrzał się pieszo do miasteczka, oddalonego o dwie wiorsty, ot, po wyjściu na wschodni skraj sadu, otoczonego przez świerki, lipy i klony widać do miasteczka z kilkoma blaszanymi dachami, z wątrobianą wieżą kościoła i lśniącymi w przejrzystym powietrzu kopułkami cerkwi, która jest niższa. Jak na to pozwolono, żeby cerkiew była niższa od kościoła, a obie budowle pochodzą przecież z dosyć dawnych czasów, temu i teraz Charyton Jakowlewicz nadziwić się nie może. Za mało tu dbano o rosyjskość, gdzie w myślach, ewokując pretensje do przeszłości.

Pierwszy zjawił się pułkownik Jelistratow, aktualnie nadzorca miejskiej łaźni. Choć bardzo serdecznie życzy zdrowia i pomyślności, Charyton Jakowlewicz z trudem skrywa niechęć: balwan, jeszcze parę lat temu przychodził z oficerskim krzyżem świętego Jerzego w klapie granatowej marynarki! W ogóle marny i chwilowy to człowiek: córkę wydał za mąż za sekretarza gminy, niejakiego Zabickiego, oczywiście Polaka.

Za to z prawdziwą przyjemnością pada w objęcia ojca Polikarpa. Dawno wybaczył proboszczowi, że jego dziad był przez jakiś czas unitą. Ojciec Polikarp, może dlatego, że dręczy go fatalny błąd dziada, co roku przepowiada nadejście normalnych czasów, nawet z tego powodu miewa kłopoty z miejscową władzą, która jest głupsza od swego rządu i wierzy w trwałość tymczasowości.

Córki wespół z gospodynią, były frejliną, w tym czasie zastawiają stół, słysząc przez drzwi otwarte do salonu, gdyż panowie siedzą w gabinecie, krzątając i pobrzękiwanie naczyń. Oczywiście, ojciec Polikarp ma swoje słabości, co jakiś czas wstaje i zagłada do salonu, by się przyjrzeć karcą i zakąskom, ale któż jest bez słabości.

Chwali się pogodą, wyciągając stąd optymistyczne prognozy dla solenizanta.

Wreszcie zjawia się w gabinecie reszta gości, przychodzą czwórka, przynoszą kwiaty. Niestety, z roku na rok ich ubywa, niektórzy pojechali gdzie indziej szukać losu,

nie wychodzi im na spotkanie Jekatierina Afrikanowna, zmarła przed dwoma laty żona solenizanta. Z tego powodu goście — zresztą o składzie w sensie towarzyskim dość przypadkowym — przychodzą bez kobiet.

Więc czas na zajęcie miejsc przy długim dębowym stole o grubych okrągłych nogach, przypominających nogi wiejskich bab. Teraz

czyła gimnazjum, uchylała się przed tym stanowczym krokiem. O, właśnie. Gdzież ta Nadia znowu się podziewa?!

Za oknami, gdzieś tam za drzewami i za rzeką czerwieniał zachód słońca, odbłask czerwieni udzielał się przez firanki rozrośniętym fikusom, wkrótce trzeba będzie zapalić lampy, ale lepiej z tym się nie spieszyć, półmrok jakoś bardziej scala towa-

Szczególnie skwapliwie podchwytyją słowa pieśni Aleksander i Paweł Lwowicze, dwaj bracia, eks-ziemie, ludzie poza tym milczący, właściciele sklepiku spożywczego.

Od jakiegoś czasu goście przestali interesować się indykiem i prosiakiem, idą w ruch kiszony jabłko i marynowane śliwki. Za „jabłko moczonyje” chwali się frejling, która słucha tego z wyjątkowym zadowoleniem, również wybacząc pijaństwo, gdyż przypomina sobie, że jej mąż nieboszczyk przepadał właśnie za nimi. Lza pojawia się w jej oczach.

„Gdzież ta Nadia się podziewa?” — po raz drugi zaniepokoił się Charyton Jakowlewicz, jednocześnie zaś pomyślał, że przy okazji dobrze będzie się przespacerować, przewietrzyć głowę, a i spojrzeć na zachód słońca, kończący ten cudowny dzień, goście nawet nie zauważają jego nieobecności.

Zdjął w korytarzu prochowiec z wieszaka, nasunął go na siebie i żwawo, aby sprawdzić czy nie płączą się nogi, ruszył od ganku przez dziedziniec na ścieżkę prowadzącą nad rzekę. Cieszył się, że jeszcze zdąży zobaczyć znikanie tarczy słonecznej, czerwonego okrętu, za lasami po przeciwległej stronie, pożegnał westchnieniem udany dzień. Idąc, zastanawiał się nad tym, ile też Bóg raczył przewidzieć dla niego takich wrześni, wydawało mu się, pod wpływem alkoholowego nastroju że jeszcze wiele.

Czarne pnie drzew były w czerwieni wyrazistsze, pojedyncze gałązki cyzelowały światło zachodzącego słońca.

Znowu znalazł się między drzewami, oddzielającymi sad od brzegu, który stromo się urywał. Postanowił zejść na sam kraj, stanąć nad szumem wody. Nim to uczynił zerknął w lewo, gdzie między dwiema lipami stała ławeczka, na której lubił wypoczywać. Może i teraz chwilę na niej posiedzi? Ale ławeczka była zajęta. Jego ulubiona ławeczka, o czym dobrze wiedziała rodzina i parobczańska służba.

Zwolnił kroku, zszedł ze ścieżki, posuwał się do przodu, ale przyczajając się, żeby dobrze przyjrzeć się tym, którzy siedzieli na jego ławeczce, postanowił ich zaskoczyć gniewem pana.

Po chwili, gdyż skradanie się nie trwało długo, ujrzał, iż siedzących łączy coś więcej niż przypadek, obejmują się i całują. Poem oboje odwrócili się w kierunku, skąd nadchodził. Może zatrwodziły ich szuszczące opadłe liście, które rozgarniały nogami. Przycisnął wskazującym palcem binokle aż do samych oczu, żeby lepiej widzieć.

„Gospodi, więc to Nadia, a jej towarzyszy to Pietraszkiewicz, nauczyciel szkoły powszechnej, niedawno zwolniony z posady, człowiek o podejrzanych poglądach, gdyż parokrotnie interesowała się nim policja. Policja, choćby i polska, zawsze ma rację...” Siedzący znowu powrócili do poprzedniej pozycji, obejmując się na nowo rękami. Twarz Charytona Jakowlewicza stała się zwięźlejsza, zjawili się na niej czerwone wypieki, wrócił śpiesznie na ścieżkę, aby przedrzeć się do ławeczki. Nawet nie zauważył jak zgubił binokle i wszystko zaczęło mu się przed oczami rozpełzać.

Ostre stwierdzenia, błyskawicznie następujące jedno po drugim, jak repliki w kłótni, rozsadały czaszkę: „Nadia, moja ulubienica, zaprzeczala przeszłości i wyszydzała wiarę w przyszłość... Ten Pietraszkiewicz, swolocz, od dawna tu się włóczy... Zawiodła mnie, zawiodła... Gospodi, poczemum imiennu w etot czudiesnyj oktiabrskij... niet, czort pobieri, sientiabrskij wiecier... Wypędzę ja... Ja im pokażę!”

Nie wytrzymał, choć miał ten zamiar. Nie opanował się na tyle, żeby spokojnie, tłamsząc na razie gniew w sobie, stanąć przed ławeczką, przed przestępcami; jeszcze z tytu, na parę kroków od ławeczki zaczął chrapliwie krzyżeć:

— Pro... pro... proklinaju!

Potknął się, jak gdyby rodzicielskie przekleństwo nadmierne wyczerpało, upadł na chłodną martwiejącą ziemię, zaszuchły liście, trochę ich znalazło się w kurczowo zacisniętych palcach.

Adrian, który wiedział o tym, że Nadieżda wyszła, gdyż chciała skorzystać z rozgardiaszu i spotkać się z Felkiem Pietraszkiewiczem, zauważył nieobecność ojca w salonie zbyt późno, by w porę ostrzec przed ewentualnym niebezpieczeństwem, zamarudził w kuchni, gdzie upolował dodatkową porcję nalewki. W dodatku, któż mógł przypuszczać, że ojciec zajdzie aż tak daleko!

Ujrzał siostrę i Pietraszkiewicza — wyjaśkrawionych w blasku zza rzeki, ale i spłaszczonych, zredukowanych do sylwetek — jak usiłował ojca podnieść, niemal bezwładne ciało dociągnąć do ławeczki, posadzić. Adrian dobiegł do nich. Bez słów, powodowani w tej sytuacji niejako naturalnym odruchem, zmienili decyzję, Charytona Jakowlewicza wspólnym wysiłkiem przez sad, na przelaj dotaszczono do dworu, ułożono na łóżku w sypialni, w której zjawila się zaalarmowana frejlina wraz z Heleną. Helena gniewnie odrzuciła płaczącą Nadie od ojca, gdyż zawsze stawała po jego stronie i była przeciwna amoram z Polakami...

Adrian, nie zastanawiając się, zrozpaczony i zupełnie trzeźwy, zaprzęgił konia do linijki, usiadł bokiem na jej obciążonej skórką desce i, nie słysząc dudniących po twarnej ziemi kół, w cwał pognał do miasteczka po lekarza.

JAN HUSZCZA

# CUDOWNY DZIEŃ

wszyscy, kto jawnie kto spode łba, bacznie i z lubością lustrują to, co się znajduje na świeżej i niepokalanej, na razie, bieli obrusa. Ten i ów zerka na portret miłościwego pana Mikołaja II, który na ten dzień pojawił się na ścianie nad biblioteczną szafą, frejlina o to się postarała, ale nikt o tym nie mówi, nikt nie śle w tamtą stronę stłumionego westchnienia, a w oczach pułkownika Jelistratowa, gdyby je uważniej obserwowano, zauważyłoby się coś w rodzaju ironicznego zdziwienia.

Zaczyna się od nałożenia zakąsek na talerze i toastu, który wypowiada basowym ale przymilnym głosem ojciec Polikarp, frejlina Anna Grigoriewna również znalazła się przy stole, zwalnając siebie na chwilę z obowiązków gospodyni, czuwającej nad stołem i sprawnością służącej, która nie wydała się z kuchni, gdyż jest znana z niezręczności.

— Udał się dzionek — jeszcze raz przypomina zebrany były naczelnik policji powiatowej, Andronikow, podsuwając widelec z kawałkiem faszerowanego szczupaka pod grube wargi, od góry obramowane siwym cokolwiek liniejącym wąsikiem. — Przypominam sobie podobny dzień w 1912 roku... — nawiązuje do jakichś własnych wspomnień Fiodor Michajłowicz, były dyrektor gimnazjum, który nie czuje się emigrantem, gdyż urodził się gdzieś w tych właśnie stronach. I kiedy gospodarz, wnosząc kieliszkiem rubinowej nalewki kolejne zdrowie gości, żartobliwie używa zwrotu „my, biali emigranci” — Fiodor Michajłowicz stanowczo protestuje: — Nie ma tu, ojczulku, żadnych emigrantów...

Córkom solenizanta, postawnym pannom o grubych warkoczach, Nadi i Helenie, nalewa się do kieliszków na wysokich nóżkach domowego wina, synowi także — aczkolwiek rodzeństwo za każdym razem porozumiewawczo sobie podmiguje, gdyż wiadomo, że Adrian, który studiuje prawo, należy do korporacji studenckiej, gdzie od wódki nikt nie stroni, a starsza siostra, czarnooka Nadieżda, nieraz z trudem układała go do snu, gdy późno w nocy mało przytomny wracał z popijawy w miasteczku i zachowywał się tak hataśliwie, że mógł obudzić ojca wraz z jego niepohamowaną skłonnością do gniewu. Rodzeństwo nie czuje się tutaj dobrze, goście są znacznie starsi, prowadzą rozmowy przeważnie odbiegające od czasu terażniejszego. Po wiele razy siostry i brat wybiegają do sąsiednich pokojów, żeby żwawiej mijaly godziny.

Goście wyzbywają się początkowej sztywności, zaczynają opowiadać anegdoty, nawet pikantne, a wtedy ojciec Polikarp przykrywa usta rudą brodą, wpycha jej koniuszek między wargi, jego tłumiony śmiech brzmi jak pochlipywanie, nawet Charyton Jakowlewicz, człowiek w tym towarzystwie najbardziej szacowny i stateczny, mniej dba o poprawność, rozpiął surdut o byszczących guzikach, zakapał nalewką biały gors, wykrochmalony na ten dzień, chrząszczący jak pancerz.

Choć nalewka przenikała mózgowie zwoje, ożywiała ciało, Charyton Jakowlewicz chwilami wpadał w smutek. Jeszcze zeszedł jesieni przy tym stole siedział niezbyt daleki sąsiad, ziemianin Jakowicki, myślano o mariażu jego syna z Nadią — cóż, że różne narodowości, skoro podobna sfera — ale jakoś nic z tego nie wyszło. Nadieżda, choć skoń-

rzystwo, które coraz mniej dba o rygor.

— Panowie! Piję za przywrócenie litery ja! w rosyjskiej pisowni! — wstał z kieliszkiem w ręku były dyrektor. Był to znak, że ma już dobrze w czubie. Dla niego zresztą naprawdę symbolem dobrych czasów była owa usunięta przez rewolucję litera z alfabetu, wypisywane z Berlina i z Rygi pisma, oczywiście, nie uwzględniały tej innowacji.

— Za ja!... za ja!... za ja!... — skwapliwie, chociaż z nieco żartobliwą intonacją w głosach podchwyciono kolejną, ach, któryż to już toast.

I mniej więcej w tym samym czasie zaczyna się galimatias, którego nie lubi Charyton Jakowlewicz, ale uważa, że ludzie nie mają łatwego życia i raz do roku powinno się być wyrozumiałym. Przewodnictwo o-



Rys. L. Woźnicki

bejmując były isprawnik Andronikow, oczajdusza i pijak, niezgo naprawde nie umiejacy, jak to bywa z zawodowymi policjantami... Isprawnik zaczyna śpiewać:

Bystry kak wołny wsie dni naszej  
żyzni,  
Czto dień, to korocze k moglie nasz  
put'.  
Nalej, nalej, towariszcz, zazdrawnuju  
czasu,  
Boh znajet, czto s nami słuczitsia  
wpieredi...

# POLSKI LOS

Każde pokolenie, nawet takie pokolenie, które niczego wybierać nie potrzebuje i za ledwie przechodzi mozołnie przez fazy własnej, zbitowej biografii, musi ustalić przypadającą mu w udziale część losu narodowego. Bez tej części trudno jest określić już nie tylko swoje miejsce w porządku dziejowym, ciągłość genealogiczną, ale nawet swoją jednoczesność z wydarzeniami wyznaczającymi przynależność do określonej formacji umysłowej, do pokolenia właśnie.

A nie jest to sprawa tylko samoświadomości konkretnej generacji poszukującej własnych wartości i wyróżników. Jest to przede wszystkim problem ciągłości losu narodowego, który rozstrzyga o świadomości plemiennej, stanowi więc kapitalny problem polityczny. Dlatego też nie waham się najnowszej książki Wiesława Jażdżyńskiego, o jakże wymownym tytule „Pomnik bez cokołu”, nazwać powieścią polityczną. Tym ambitniejsza, że autor nie zawahał się postawić najdrażliwszych pytań naszego czasu, czasu właśnie teraźniejszego, a odwoływanie się do historii ma charakter wyraźnie porządkowy, czyni je jedynie pełniejszymi.

W powieści, o której mowa, Jażdżyński modeluje sytuację na styku polityki i psychologii, usiłuje obnażyć szczególny rodzaj mechanizmów społecznych. „Chciałbym wiedzieć — wyznaje nam jeden z bohaterów książki — jak się przechodzi z jednej epoki do drugiej, jak przeszedł mój ojciec?”. Kto wcześniej już zetknął się z piśrąstwem Jażdżyńskiego wie doskonale, że problem podjęty w „Pomniku bez cokołu” leży na linii zainteresowań tego autora („Polonez świętokrzyski”, a także „Sprawa”), choć dopiero teraz znalazł tak pełną i tak bezpośrednio wyrażoną realizację.

Spróbujmy określić to bliżej. „Młode pokolenie — czytamy w innym miejscu książki — istnieje również i po to, żeby nie powtarzać starych grzechów”. Oto jedna

z pokoleniowych możliwości, a o pokoleniu, ściślej o pokoleniach, mówi się w powieści bardzo często. Najmłodszy bohater, Sławek Drzewień, formułuje na przykład tak wyrażony pogląd: „Przecież nigdy tak nie było i nie będzie, żeby odchodzące pokolenie przekazało następnemu wszystko, zaw sze pozostanie coś za kotarą, za kulisami, nie odkryte do końca.”

Jaka nieuchwytna wartość, jakie nie wyjaśnione sprawy składają się na tę tajemnicę, którą ukrywają przed sobą kolejno następujące pokolenia? Czy może, odwołując się już bezpośrednio do książki, coś mają do ukrywania jedni Drzewieńowie przed innymi Drzewieńiami? Powieść bowiem została skonstruowana jako rodzaj sagi rodzinnej, z tym jednakże stopniem uogólnienia, który pozwala nazwać ją książką o polskim losie, sagą rodziny a jednocześnie narodu. „Drzewieńowie — jak przecież czytamy — zawsze zajmowali się i zajmują problemami ogólnymi, interesuje ich jakieś ogólne szczęście, los narodu, idea wojska”. Czy ta wartość, stanowiąca tajemnicę kolejnych pokoleń, jest jedynie mitologia maskująca sprawy wstydliwe albo niepojęte, gdyż, jak zostało to wypowiedziane w innym miejscu: „Mechanizm mitu jest powszechny. Taki sam dla Drzewieńów jak i Rzeczypospolitej, którą Drzewieńowie stworzyli.” (?)

Nie mam zamiaru wprowadzać tu czytelnika w skomplikowane koligacje rodzinne Drzewieńów, szkicować wszystkie gałęzi ich genealogicznego drzewa. Rozstrzygający jest bowiem, jak to zostało powiedziane w powieści, raczej rodowód polityczny wobec którego ulegają rozluźnieniu związki krwi. Spośród czterech braci Drzewieńów połączonych wspólną przygodą niepodległościową, każdy wybiera inną drogę, gdy niepodległość ta stała się faktem i gdy trzeba teraz zdecydować, jaki w niej ustanowić porządek. Bo ten wybór drogi, choć wiąże

się z problematyką egzystencjalną i najbardziej osobistą, jest przecież przede wszystkim wyborem ideowym. A co ważniejsze podlega aktualizacji i dziedziczeniu jest nie tylko przez pokolenia następne, ale musi być podejmowany na nowo przez generacje, które, zdawać by się mogło, już go raz na zawsze rozstrzygnęły. Jest to właśnie przechodzenie człowieka z epoki w epokę, o którym już była mowa.

Centralną postacią powieści jest bez wątpienia Seweryn Drzewień, narrator pierwszej części książki. Nie tylko dlatego, że jego doznania narysowane zostały najpełniej, przede wszystkim bowiem ze względu na szczególną rolę jaką wyznaczył mu autor. Seweryn, syn pulku słynnych Czwartaków, jest przecież łącznikiem między pokoleniem ojców z pokolenia legionowego, żyjących odbłaskiem sławy Wielkiego Marszałka („Lecz co odeszło? Kogo zakopaliśmy w ziemi? Ojca, tylko ojca, czy też i epokę?” — zastanawia się Seweryn na pogrzebie pułkownika Drzewienia) a pokoleniem wnuków (Sławek Drzewień). Samemu Sewerynowi wystarczy refleksja, że należy do pokolenia rozdarte, które przeżyło wojnę i lata par-

tyzantki, Sławek stara się ustalić, na czym to rozdarcie polega. I w związku z tym warto zwrócić uwagę na szczególny walor powieści Jażdżyńskiego, na jej funkcje demistyfikacyjne. Rozumiem przez to określenie coś więcej niż demaskację mitów i legend dwudziestolecia międzywojennego, jak sugeruje się uprzejmie na skrzydełku obwoloty. Bo przecież ta demaskacja rozciąga się również na czasy nam współczesne i przynajmniej częściowo tłumaczy nam „genealogię teraźniejszości”. Dla Sławka będzie nią sprawa majora Cezarego Malowieckiego, rodzony wuj, któremu Seweryn odmawia pomocy w najtrudniejszej życiowej a jednocześnie politycznej próbie, gdy oddziały partyzanckie dwóch różnych formacji znajdują się w niemieckim okupacji. Ta bolesna sprawa jeszcze plastyczniej podkreśla rozdarcie tamtego pokolenia.

Alle demitologizacja spełnia jeszcze w powieści Jażdżyńskiego dodatkową funkcję. Podkreślając różnice pokoleniowe, różnicując postawy swoich bohaterów, Jażdżyński szuka tego wszystkiego, co jest wspólne nie tylko dla rodziny Drzewieńów ale także dla

polskiego losu narodowego. A więc tego, co określa świadomość narodową uwarunkowaną tradycjami i doświadczeniem różnych generacji. Dlatego też to, co na zawsze rozdzieliło Cezarego Malowieckiego i Seweryna Drzewienia, nie dzieli już Jerzego Malowieckiego i Sławka Drzewienia należących do pokolenia innego, uwrażliwionych na tamto niepojęte dla nich rozdarcie tylko „genetycznie” niejako. „Teraz dzieci uświadamiają rodziców” wyznaje Sławek w ostatnich partiach książki Jażdżyńskiego. I snując myśli o swoim ojcu wyznaje dalej: „Wiem jednak, że świadomie szukał czystego źródła, z którego pili Drzewieńowie po raz pierwszy, szukał miast i ulic, po których demonstrowali śpiewając — nasz sztandar płynie ponad trony. I jeśli któryś ten sztandar zdradzał porzucał na zawsze — brał go w ręce następny. Czy na tym polega mechanizm dziedziczenia?”. Powtórzmy więc: czy nie na tym właśnie polega mechanizm dziedziczenia?

Wiesław Jażdżyński: „Pomnik bez cokołu”. Wydawnictwo MON, Warszawa, 1971, str. 280, cena zł 18.



Fot. F. Jenó

## Przeszłość i teraźniejszość

Czy można brać się do czytania jakiegos poważnego dzieła, gdy Wicherek wyprorokował równo 30 stopni w cieńcu? W takie dni sięgamy po lekturę, nie tyle skłaniającą do intelektualnego wysiłku, ile pomagającą nam przetrwać w spokoju godziny największego upału, zanim nadejdzie chłodniejszy wieczór. Odszedziałem już dziś swoje w dusznej czytelni biblioteki i naprawdę nie mam siły, ni ochoty brać się do pisania felietonu na marginesie którejś z ostatnio przeczytanych poważnych, naukowych książek. Układam się na tapczanie i biorę do ręki wydane przez „młodzieżowe” wydawnictwo „Iskry” dziełko radzieckiego autora Jefima Czerniaka „Pięć wieków tajnej wojny. Z historii wywiadu” (1971).

Jest to rzeczywistość lektura odpoczynkowa, ciekawsko-anegdotalna, nie wymagająca od czytelnika większego wysiłku. W upalny dzień rzadko kto może się skupić np. nad dziełem o hodowli drobiu w połud-

niowo-środkowej Wielkopolsce przed 375 laty, łatwiej na pewno czytać o „szarej eminencji” — ojcu Józefie, mnichu, który był szefem wywiadu kardynała Richelieu, czy zagłębiać się w opowieść o tajemniczej „żelaznej masce”, legendarnym więźniu Bastylii z czasów Ludwika XIV, o którym jedni pisali, że był bratem francuskiego monarchy, drudzy zaś, że był kimś zupełnie innym — przy czym długo nie potrafią się zdecydować, kim był on rzeczywiście i właściwie wcale nie jest pewne, czy to w ogóle ustalono. Swoją drogą, jakże ciekawym tematem dla poważnego studium historyczno-literackiego byłoby dzieje legendy o „żelaznej masce” w literaturze francuskiej od Voltaire’a, przez Alfreda de Vigny, Aleksandra Dumas, Victora Hugo...

Czerniak opowiada w swej książce o kilkunastu epizodach z dziejów europejskiej i amerykańskiej „tajnej dyplomacji” od czasów średniowiecza do I Wojny Światowej; ostatni szkic do-

tyczy sławnej Mata Hari. Opowiada, ale nie bada; nie ukrywa, że uczynion nie jest i chociaż oświadcza na wstępie, że „usiłował z zebranych materiałów odczytać prawdę historyczną, wolną od jakichkolwiek upiększeń i przejawskawień”, nie

w których wyjaśnia się stopniowo niedużo, za to opowiada się bardzo wiele nieprawdopodobnych i prawdopodobnych, ale zawsze ciekawych wieści.

Czerniak rozpoczyna od średniowiecza, ale wyraźnie się na nim nie zna: zbywa

a wreszcie i samego państwa. Zgoda jednak na twierdzenie autora, że Renesans niesie „odrodzenie wywiadu”. Miałem przed laty w ręku relacje kupców angielskich XVI w. z Rosji, opracowane dla ich macierzystych kompanii. Myślicie,

naszych czasów opowieści Czerniaka stają się coraz barwniejsze i lepiej udokumentowane. Czytelnik z zainteresowaniem śledzi losy różnych rzekomych Ludwików XVII, niebezpieczne perypetie wywiadowcy Bakera czy Pinkertona w latach wojny secesyjnej, czy dzieje szpiega w służbie Bismarcka — Wilhelma Stiebera. Opowiadanie o zdemaskowaniu wysokiego austriackiego oficera wywiadu płk Redla nie wykracza w zasadzie poza to, co wiemy z „Jarmarku sensacji” E. E. Kische. W fachowej literaturze oraz pamiętnikarstwie o I Wojnie Światowej znalazłoby się znacznie więcej interesującego materiału ponad ten, który wyzyskał autor. Myślę np. o dwóch książkach jednego z szefów niemieckiego wywiadu płk W. Nicolai, a mianowicie: „Nachrichtendienst, Presse und Volksstimmung im Weltkrieg” (1920) a zwłaszcza „Geheime Mächte. Internationale Spionage und ihre Bekämpfung im Weltkrieg” (1923). Autor był fachowcem od spraw, o których pisał — nie darmo jego umiejętności skwapliwie wykorzystal reżim hitlerowski. Ale jest to już sprawa przygotowań do II Wojny Światowej.

JÓZEF GRZELAK

## CO MOŻNA CZYTAĆ W UPAŁ?

jest żadną tajemnicą dla czytelnika, że nie zawsze się mu to powiodło. Taka jest bowiem materia przedmiotu, że często przez stulecia nie sposób dojść do tego, jak to rzeczywiście było: tajemnice wciąż splatają się z legendami. Nic więc dziwnego, że na świecie wiele jest przeróżnych książek o „tajemnicach dyplomatycznych”, „sekretnych tajnych służb” w różnych wiekach i rozmaitych krajach,

ten okres jedną anegdotą i stwierdzeniem, że była to doba „upadku służby wywiadowczej”. Historyk tej epoki będzie miał co do tego, wątpliwości i przypomni sobie nie tylko znane dzieje wywiadu mongolskiego w Europie, ale i doskonale zorganizowany wywiad krzyżacki, z którym rywalizował wcale skutecznie... polski za Jagiellonów, sukcesy tajnych służb państwa włoskich, niektórych zakonów

że były to raporty o sprawach handlowych? Oczywiście, poruszano je także, ale znacznie więcej było tam informacji natury politycznej a zwłaszcza wojskowej, jak np. uzbrojeniu i składzie narodowościowym poszczególnych garnizonów. Ciekawe, że kilkadziesiąt niezależnych od siebie relacji było pisanych tak, jakby układano je według z góry przygotowanego planu...

W miarę zbliżania się do

Uroczystości szkolne mają zawsze specyficzną atmosferę, wynikającą chyba z tego, że młodzież przeżywa je autentycznie, z przejęciem i wzruszeniem. Taka właśnie szczególna uroczystość odbyła się niedawno w XIII Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi i stanowiła chyba jedno z większych przeżyć szkolnych dla młodzieży i pedagogów. Oddano tam do użytku laboratorium językowe — dar rządu francuskiego dla polskiej szkoły. Jest ono znakomicie wyposażone, najnowocześniejsze wśród placówek tego typu w szkołach łódzkich. I oznacza, że młodzież XIII liceum będzie uczyć się francuskiego metodą najnowocześniejszą.

My, pokolenie dorosłych, wiemy z naszej nieco już odległej praktyki szkolnej, że wiedza wyniesiona z nauki języka obcego w szkole była na ogół dość mizerna i kulała szczególnie w dziedzinie praktycznego stosowania języka, czyli umiejętności mówienia. Ale w ciągu minionych kilkunastu lat metodyka nauczania języków obcych przeszła prawdziwą rewolucję, a stało się to koniecznością. Dziś, kiedy świat się zmniejsza, kraje zbliżyły poprzez rozwój wszystkich dziedzin nauki i techniki, kiedy zacieśniały się kontakty międzynarodowe we wszystkich dziedzinach życia — gospodarce, nauce i kulturze, kiedy coraz częściej przypada nam obowiązek porozumiewania się z cudzoziemcami, nie znającymi naszego języka — nauka języków obcych stała się wręcz koniecznością.

Trudno dziś wyobrazić sobie wszelką pracę naukową bez znajomości języków obcych, w których publikowane są najnowsze doniesienia z zakresu wiedzy technicznej, medycyny, budownictwa itd. Nauka języka obcego w szkole jest więc potrzebna nie tylko tym, którzy chcą studiować filologię, ale wszystkim, którzy mają zamiar poświęcić się pracy naukowej w jakimkolwiek kierunku.

Pod tym też kątem podchodzi do zagadnienia władze oświatowe, przykładając ogromną wagę do doskonalenia metod nauczania. W tym celu zapoczątkowano w 1962 roku nowy typ liceów — o poszerzonym programie języka obcego. Różnią się one od wszystkich szkół średnich tym, że język obcy ma podwójną liczbę godzin, oraz, że niektóre inne przedmioty, jak chemia, fizyka, biologia, matematyka czy wychowanie fizyczne prowadzone są również w tym języku — całkowicie lub częściowo.

W Polsce istnieje w tej chwili 50 takich liceów, w Łodzi — cztery: III LO z rosyjskim, IV LO — z angielskim, XIII LO — z francuskim i VIII LO — z niemieckim. Od 1968 roku łódzkie władze oświatowe traktują ten system nauczania jako eksperyment naukowy. Kuratorium szkolne wraz z Instytutem Pedagogiki Uniwersytetu Łódzkiego, reprezentowanego przez doc. dr R. Polnego i dr J. Fudali oraz przy współpracy katedr filologicznych, prowadzi wielokierunkowe badania, mające na celu ocenę i udoskonalenie metodyki nauczania w szkołach tego typu.

W dziedzinie organizacyjno-programowej prowadzone są badania na ile i w jakim stopniu rozszerzony program języka obcego wpływa na pogłębienie zainteresowań filologicznych u młodzieży. Z drugiej strony bada się stopień pomocy

TERESA WOJCIECHOWSKA

# JĘZYKI W LABORATORIUM



Fot. W. PARYS

w przygotowaniu do studiów na wszystkich innych kierunkach poza filologią.

W dziedzinie dydaktyki badania naukowe mają na celu opracowanie metodyki kursu wyrównawczego dla uczniów wступujących do pierwszych klas licealnych, reprezentujących różny poziom znajomości i opanowania języka. Z drugiej strony istnieje potrzeba opracowania metody indywidualizacji zaęć w klasach pierwszych liceum. Pilnie też potrzeba opracowania podręczników dla liceów z poszerzonym programem języka obcego. Szkoły te pracują dotychczas bez podręczników, a nawet bez poradnika metodycznego. Zamiarem dr Fudali jest przygotowanie skryptu podręcznikowego.

No i cała dziedzina badań, która będzie aktualna w pełni, gdy pierwsze roczniki objęte eksperymentem ukończą szkołę: o ile większa jest ich wiedza filologiczna niż uczniów szkół zwykłych; czy nauka przedmiotów ogólnych w języku obcym jest uboższa niż prowadzona w polskim; czy uczeń liceum eksperymentalnego uzyskuje dodatkowe kwalifikacje i tak dalej i tak dalej. Na razie nie ma jeszcze skali porównawczej, bo nie ma jeszcze absolwentów, badania są zaplanowane długofalowo. Są jednak już pierwsze, wycinkowe dane, napawające raczej optymizmem. Wykazują one przeciętną wyższą średnią skalę ocen w liceum z poszerzonym programem języka obcego, niż w liceum zwykłym. Dobrze też są wyniki egzaminów na studia (roczników wcześniejszych, nie objętych je-

szcze badaniami naukowymi). W 1968 r. z 66 absolwentów IV Liceum Ogólnokształcącego, przyjęto na anglistykę jedenastu, w następnym roku, z 75 absolwentów, przyjęto na ten kierunek studiów dwunastu. Cieszą się oni bardzo dobrą opinią na Uniwersytecie.

Nauka języka obcego w laboratorium staje się coraz powszechniejsza. Laboratoria posiadają dziś nie tylko licea, o których piszemy. Jest ich w Łodzi więcej. Przewiduje się, że w ciągu najbliższych trzech lat system laboratoryjny nauki języków obcych będą mogły zaprowadzić wszystkie szkoły licealne. Jest to bowiem metoda gwarantująca nowoczesny system nauczania. Jest ona ambicją pedagogów, choć przysparza im dodatkowych kłopotów, pochłania więcej czasu. Obliczono na przykład, że w liceach z poszerzonym programem nauki języka obcego, nauczyciel musi przygotowywać się co dzień około trzech godzin do lekcji w dniu następnym.

Jeśli jednak wszędzie są te klasy pedagogów co dr Władysława Roszczynowa w XIII Liceum, to wyniki będą gwarantowane. Łączy ona bowiem znakomitą znajomość języka z talentem pedagogicznym i talentem jeszcze cenniejszym — umiejętnością zdobycia serc młodzieży. Jej osobistej energii i staraniom zawdzięcza szkoła to laboratorium. Ona przywiozła w roku 1968 z Francji najnowszą audio-wizualną metodę nauki francuskiego zwaną CREDIF i zapoczątkowała ją w swojej szkole. Metoda ta pole-

ga na stosowaniu systemu takiego, jakim się uczy mówić małe dziecko w języku ojczystym: pokazywania obrazu i formułowaniu myśli oraz nazywaniu pojęć. Dopiero po pół roku zaczyna się nauka pisania i czytania. Tą metodą kształcony jest w XIII Liceum jedn cąg oddziałów. Jaki będzie rezultat — okaże się za rok, kiedy pierwsi absolwenci ukończą liceum.

My, dorośli, wiemy w jakim stopniu sympatia do nauczyciela, jego umiejętność zainteresowania przedmiotem, potrafiły wpłynąć na nasze decyzje o wyborze zawodu czy kierunku studiów. W tej dziedzinie niewiele się zmieniło. Mgr. L. Błaszczak, naczelnik działu szkolnictwa ogólnokształcącego Kuratorium Łódzkiego powiedział mi, że badania przeprowadzone nad wpływem różnych czynników na wyniki nauczania wykazały, iż nieposlednią rolę odgrywa tu osobowość i talent pedagoga. W XIII LO — francuski ma szansę.

• ☆ •

Łódź jest bodaj jedynym ośrodkiem w kraju, który sprawy nauczania języków obcych potraktował w sposób naukowy. Tutaj też powstała idea zwołania ogólnopolskiej konferencji przedstawicieli tych właśnie 50 szkół z całego kraju dla wymiany doświadczeń i przedyskutowania najistotniejszych problemów dydaktycznych. Jeśli Ministerstwo Oświaty zaakceptuje projekt, konferencja taka odbędzie się na jesieni bieżącego roku.

MIROSLAW PIETKIEWICZ

## Wiosenne narzekania

W powodzi festiwal, odbywających się co roku w Polsce, wiele jest znakomych, przemysłowych pod każdym względem, imponujących świetnie opracowanym repertuarem i wysokim poziomem artystycznym. Budzą one wielkie zainteresowanie publiczności, z reguły rekrutującej się spośród osób przejeżdżających czy nawet przyjeżdżających specjalnie w celu wysłuchania jednej czy kilku festiwalowych imprez. Takiego festiwalu miasto nasze jeszcze się nie dorobiło i wiele wskazuje na to, że nieprędko potrafimy nadać rzeczywiste reprezentacyjny charakter imprezom, noszącym szumną nazwę festiwalu, mocno na wyrost. Na temat zakończonej niedawno III Łódzkiej Wiosny Artystycznej dyskusje jeszcze trwają — to dobrze, dyskutujemy, by rzetelnie zapobiec niepotrzebnemu powielaniu rzeczy złych, by z rangi powiatowego festiwalu wyjść wreszcie do prawdziwego festiwalu artystycznego, którego poziom artystyczny zadecyduje o jego wysokiej randze. Ze swej strony,

chciałbym pokręcić trochę nosem na te wszystkie imprezy, jakie według założeń organizatorów miały przedstawić łódzkie środowisko muzyczne.

Według tych założeń środowisko to miało być tym razem reprezentowane jedynie przez twórczość muzyczną i w tym upatruję główne źródło niepowodzenia. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że ta właśnie strona łódzkiego życia muzycznego przedstawia się co najmniej ubogo i trudno byłoby na podstawie imprez muzycznych III Łódzkiej Wiosny wyrobić sobie pozytywny pogląd na temat stanu muzyki w Łodzi. Twórczość kompozytorska, mimo niewątpliwych osiągnięć niektórych osób, nigdy nie stanowiła mocnej strony naszego łódzkiego środowiska. Tym bardziej można i chyba należy mieć pretensję do organizatorów, że zdecydowali tej dziedzinie nadać tak wielką rangę — było to zadanie na pewno przekraczające możliwości. Dotyczy to zresztą nie tylko twórczości kompozytorów, zawodowych, a chyba

jeszcze bardziej „radosnej twórczości” spod znaku lekkiej muzy.

Nie wszystkich imprez niestety mogłem być świadkiem — np. nie słucałem laureatów V Festiwalu Młodzieżowej Muzyki Rytmicznej, wybiełem się na koncert „Jazz w Filharmonii”, ciekawy, kto jeszcze w Łodzi gra tę tak niemodną, a tak świetną muzykę, niestety koncert ten odwołano ze względu na minimalne zainteresowanie publiczności. Byłem natomiast na koncercie amatorskich zespołów artystycznych Estrady Robotniczej i przedstawiony tam program, choć w części, można było uznać za artystycznie uzasadniony i interesujący. Występujące trzy zespoły taneczne reprezentowały bardzo różny poziom — od świetnego „Krakowiaka” młodzieżowego zespołu baletowego Harnama poprzez bardzo ciekawy „Taniec bułgarski” dziecięcego zespołu tanecznego Spółdzielni Mieszkaniczej „Bawelna” do występów bardzo przeciętnego zespołu baletowego ZWS „Anilana”. W zespole Harnamowców zgodnie współdziałały wszystkie czynniki — bardzo roztąńczony, pięknie ubrany, żyjący rzeczywistością muzyką balet, dobry zespół instrumentalny z dobrymi solistami. Dobre tempo, żywiołowy charakter krakowiaka przyniósł zespołowi wiele zaśluzony aplauz słuchaczy. To był na pewno najlepszy punkt tego programu.

Dziecięcy zespół baletowy „Bawelna” zaimponował mi szczególnie precyzją tańca do jakże nietatwej rytmicznie muzyki bułgarskiej. Dzieciom tym, znajdującym tyle przy-

jemności i radości w tańcu zespołowym wróć wiele jeszcze satysfakcji ze swej działalności, życząc im zarazem, by zachowały na zawsze swoją świeżość i autentyczność zabawy. Nie wolno dopuścić, by dzieci te zaczęły traktować ją zbyt serio — straca wtedy swój największy atut.

Quasi folklorystyczny zespół zakładowy „Anilana” w mocno przydługim programie występu zachwycił mógł jedynie pięknymi strojami. Układy taneczne raziły statycznością i jakąś nieporadnością, u tancerzy dał się odczuć brak dyscypliny zespołowej, wynikający zapewne z niewielkiego doświadczenia. Ale sporo też złożyć trzeba na karb „kapeli”, wyjątkowo nieprawnej i grzącej zupełnie bez rozeznanie w charakterze muzyki ludowej.

Po występach tanecznych w tzw. programie estradowym wystąpiły zespoły Domu Kultury im. Waryńskiego — nie mogłem tego programu obejrzeć do końca, gdyż trzeba było spieszyć na następną imprezę — finał VI Gieldy Piosenek i Piosenkarzy, imprezę bardzo, bardzo smutną... Rzewnie robiło się na duszy podczas występów quasi-Niemców i niby-Sipińskich, żal robiło się zmarowanych wysiłków, włożonych w napisanie jeszcze... nastu piosenek. Może to zresztą tak być powinno, że po wysłuchaniu 24 piosenek w pamięci pozostają tylko dwie? Może to są właściwe proporcje? A może po napisaniu powiedzmy 200 piosenek p. M. L. K. napisze autentyczny szlagier, gwóźdź, przebój (jednego?) sezonu? Zbyt wiele w przedstawionym programie

było rzeczy po prostu chybionych, by mogło to być winą nie dość sprawnego sита eliminującego. Na dobrą sprawę tylko dwie piosenki wydały się uzasadnione w tym programie (zresztą nagrodzone również przez jury) — „Niepokojące intelektualne Nadzieje Pawłowny” i „Trupięgi”, obie reprezentujące typ piosenki kabaretowej i obydwie co najmniej dobre. Pewne interesujące pomysły dźwiękowe zawierała ambitna niewątpliwie piosenka „Blues opowiadający”, niestety (zapewne zamierzona?) bardzo głośno wykonanie „Canon Rytmu” (czy „Canon” pochodzi od niemieckiego die Kanone — armata?) odebrało właściwie wszelkie możliwości odczytania tekstu czy jego intonacji. Wszystkie zamierzone czy może przypadkowe subtelności i podteksty zginęły w ryku gitar i huku perkusji. Nigdy nie byłem entuzjastą nadmiernego forsowania siły dźwięku — zbyt często okazuje się, że grający „najgłośniej w Polsce” muzyk czy zespół potrafi właściwie tylko to jedno — grzmieć przy pomocy znakomitej aparatury wzmacniającej. Potrafię jeszcze zrozumieć śpiewaka operowego, chcącego zaimponować potęgą swego głosu, ale siłą wzmacniacza zaimponować naprawdę trudno.

Omówienia wymagają dwa koncerty Filharmonii, na których przedstawiono utwory kompozytorów łódzkich. Program koncertu kameralnego był bardzo krótki — to chyba najkrótszy koncert tegorocznego sezonu! Nie byłoby to zresztą minusem imprezy, gdyby nie jego dość przeciętny poziom (mowa o przed-



# Secesja łódzka w fotografii

Poszukiwanie autentyczności i rejestracja faktu w znaczący na mapie codzienności drogę fotoreportera prasowego. Łączyć on w sobie powinien umiejętność i pasję dziennikarską z doskonałym warsztatem artysty-fotografika. Pracując w różnych warunkach, rejestrując przeróżne tematy i sytuacje, musi posiadać ogromną elastyczność i wielką skalę wrażliwości i wyobraźni.

Nie będąc reżyserem samych zdarzeń musi być czułym i uważnym reżyserem ich fotograficznego przekazu. Streszczenie w jednym lub kilku ujęciach całego bogactwa jakiejś sytuacji wymaga konstruktywnego i syntetycznego myślenia i patrzenia.

Fotoreporter prasowy może praktycznie posługiwać się każdą z konwencji fotograficznych: może więc robić zdjęcia w klimacie poetyckim lub zdjęcia ekspresyjne, gwałtowne, krzyżujące, statyczne lub dynamiczne, malarskie lub graficzne — może robić w każdy sposób. Pod jednym jednak warunkiem — że zdjęcia te będą komunikatywne i w dostatecznym stopniu obiektywne. Że będą przekazywały wiernie klimat zdarzenia nie zaś chwilowe nastroje autora.

Wielej artyści fotoreportażu potrafili przekazywać fakty w ich nagiej oczywistości, a jednocześnie stwarzać ponadczasowe uogólnienia, brzemienne w treści humanistyczne i filozoficzne. Ich fotografie to nie tylko

moralitety i oskarżenia, peany pochwalne, i gryzące gorzkie jak piołun ironie — to również wielkiej urody dzieła sztuki fotograficznej. Bawiąc pracować według zasady — „Wielość w jedność...”

Eugeniusz Kudaj od wielu lat para się fotografią prasową i fakt ten wycisnął niewątpliwie piętno na sposobie patrzenia na świat. Wycisnął piętno na metodzie fotografowania. Świat dla niego pelen jest rzeczy i zdarzeń wartych zanotowania, czułym obiektywem aparatu. Choroba zawodowa fotoreporterów jest, a w każdym razie winna być, dojmująca świadomość przemijania rzeczy i zdarzeń, ich tymczasowość. Tą chorobą dotknięty jest jak sądzę Kudaj. I tu chyba należy szukać źródeł powstania cyklu fotografów „Łódzka secesja”. Bo nie w bezpośrednich zainteresowaniach architektura, jako temat sprzyjającym takim czy innym dywagacjom formalnym. Bo nie dla urody planzsy fotograficznej zwrócił się Kudaj w stronę architektury. Powodem była potrzeba stworzenia dokumentu. Czegoś, co w chwili obecnej jest już sprawą przeszłości, jest zabytkiem, własnością ogółu — a jeszcze jest autentycznym, jest zachowane w stanie nie zmienionym, oryginalnym. Powstał więc zestaw zdjęć, notujących architekturę okresu zwanego „stylem 1900 roku”. Zestaw ten wyczerpujący, an: naukowy. Za to pierwszy w takim komple-

cie. I zestaw ten traktować się winno jako sygnał i jako początek. Urodę naszego miasta odkrywamy mozolnie pokonując tysiące przesądów i fałszywych mitów. Zresztą samo miasto kryje zazdrośnie swoje piękno. Miastu dziwić się nie należy. Przez lata całe Łódź była uważana za najbrzydsze miasto pod słońcem — ma prawo czuć się urażona głęboko w swej godności. Naszym obowiązkiem jest przywrócić jej uśmiech i odkryć jej wielorakie wdzięki i urodę. A uczynić to możemy najlepiej dbając o jej architekturę przeszłą i przyszłą.

Eugeniusz Kudaj cegielkę swoją do dzieła tego już dorzucił.

Prawdopodobnie wystawa w UNIBUDZIE przy ul. Sienkiewicza spotka się z zarzutami koneserów, że zdjęcia architektury są „za mało artystyczne”. Surowość materiału fotograficznego i pewien „dokumentalizm” zostały przez Kudaję zastoso-

wane jako zabieg celowy. Zamierzeniem jego było, o ile rozumiem, pokazanie czystej architektury bez upiększeń, deformujących światłocieni, w miarę możliwości z największym obiektywizmem. Kudaż odnotował istniejący stan rzeczy, sam fakt istnienia takiej architektury.

W chwili, gdy w Łodzi toczy się burzliwa dyskusja nad zabytkami, nad przeszłością i przyszłością architektoniczną i urbanistyczną miasta, zestaw fotograficzny Kudaży zasługuje na uwagę. Jest dodatkowym i ważkim głosem w tej dyskusji. I osobiście uważam, że słusznie postąpił kierując się w stronę dokumentu a nie w stronę fotografii subiektywnej, par excellence artystycznej. Nie wyszedł poza ramy fotoreportera prasowego, stwarzając jednocześnie zestaw, który służyć będzie — o ile zainteresują się tym faktem właściwe instytucje — celem szerszym i istotnym dla wszystkich.



Fot. E. Kudaj

# SPORTOWA „PASJA ŻYCIA”

Często w publikacjach sportowych używa się zwrotu: „sport — to radość życia”. Twierdzenie to tylko w części odpowiada prawdzie. Uprawianie sportu w formie zabawy, relaksu należy rzeczywiście do przyjemności, wpływa dodatnio na ogólny rozwój fizyczny i lepsze samopoczucie psychiczne człowieka. Coraz też częściej tę formę aktywnego wypoczynku starają się stosować systematycznie ludzie po „czterdziestce”, u których mięśnie wiotczącej i zaczynają niebezpiecznie obrastać tłuszczem. Na te zdradliwe dla organizmu objawy niewiele pomoże „dieta cud”, a znacznie większe korzyści przyniesie może codzienne uprawianie ćwiczeń fizycznych.

Radzę wszystkim zainteresowanym pójść w ślady pewnego, znajomego — dyrektora poważnej instytucji łódzkiej, którego co najmniej dwa razy w tygodniu wczesnym rankiem spotkać można na jednym ze stadionów samotnie przemierzającego truchcikiem bieżnię. Ow dyktor nie zna się na wyczynie sportowym, mało go interesują losy ŁKS, czy jakaś porażka polskich piłkarzy na arenie międzynarodowej. On kocha sport dla zdrowia, cieszy się niczym dziecko, kiedy zmoe własne zmęczenie i pokona jedno okrążenie wokół stadionu więcej.

Istnieje jednak druga strona sportowego medalu, którą wielu sportowcy w wywiadach prasowych nazywają „pasją życia”. Mówią oni: „Sport stał się dla mnie pasją życia”. Takie metaforyczne ujęcie problemu brzmi bardzo pięknie dla ucha, kryje w sobie jakiś tajemniczy urok, otacza nimbem blasku wypowiedzianego te słowa. Tymczasem „pasja życia” (sportowego), kiedy spojrzeć na nią z bliska, od strony zawodnika, jest niczym innym jak ciężką, twardą orką doskonalenia fizycznego. Bo sport wyczerpujący przestał już dawno być zabawą, biegiem czy skakaniem dla przyjemności. Już w poprzednim artykule, pisząc o sportowym „wyscigu zbrojeń” starałem się wykazać, jakie to funkcje w obecnym systemie sportu wyczynowego ma do wypełnienia zawodnik wielkiej, międzynarodowej klasy. Te same kryteria, tylko w nieco mniejszym wymiarze, obowiązują również pozostałych, mniej znanych z tej pory wyczynowców, ale potencjalnych kandydatów do reprezentacji kraju, czy na przyszłe igrzyska olimpijskie. Kto chce osiągnąć szczyty sportowe, ten już od dziecka musi się poddać surowym, wręcz ascetycznym regułom życia.

Oto dwa bardzo wymowne przykłady:

Mamy w Łodzi szkołę podstawową specjalizującą w łyżwiarstwie figurowym. Młodzież tej szkoły, już od lat siedmiu, w okresie kiedy jest czynne lodowisko w Pałacu Sportowym, przechodzi dzień w dzień na treningi we wczesnych godzinach rannych. Treningi odbywają się również po zakończeniu lekcji w szkole, a także w ramach obowiązkowych zajęć wychowania fizycznego.

Podobnie ma się sprawa z ośrodkami wczesnej specjalizacji w piłce nożnej. Dawniej chłopcy w wieku lat 10-11 uganiali się dowolnie po placach i podwórkach. Teraz zabawa przelastcza się w hukiowo zaprogramowany cykl produkcyjny wychowawcy dobrego piłkarza na miarę Lubanickiego, czy nawet Pelego. O własnych siłach, choćby z największym talentem, daleko jest obecnie w sporcie wyczynowym nie zażdzić. Ci, którym brak silnej woli lub zdolności odpadać z konkurencji, a na ich miejsce przychodzą nowi kandydaci na gladiatorów.

Co przyciąga młodzież do sportu? Z jednej strony naturalna u dziecka chęć fizycznego wyzucia się, z drugiej — zdobycie sławy, dorównanie umiejętnością uznanym idolom sportowym. Co ich zraża? Twardy rygor sportowy, mnóstwo nakazów i zakazów regulaminowych, które ograniczają swobodę „korzystania z życia”. I dlatego osobnicy sportowo uzdolnieni, ale słabsi duchem wolą być kibicami, aniżeli wylewać pot na sali gimnastycznej czy na boisku.

„Śmierć traferom” — powiedział w rozmowie ze mną młody człowiek, poważny kandydat na idola, kiedy zapytałem go dlaczego przestał uprawiać sport. — Znam większe przyjemności, znacznie mniej męczące i absorbujące niż wyczyn sportowy. Sława w sporcie, to uluda, nie zawsze ponadto bywa wdzięczna i szybko przemija. Wolę szukać dla siebie miejsca w innej, bardziej trwałej — z punktu widzenia własnych interesów — dziedzinie życia społecznego.

Kariera wielkiego wyczynowca sportowego trwa rzeczywiście krótko: 10 — najwyżej 15 lat. A co później? Nie wszyscy z uznawanych dawniej, jak i dzisiaj mistrzów sportowych poważnie myślą o przyszłości. Chodzili, czy też chodzą w głorli słąwy, korzystają z wielu przywilejów, a kiedy przyjdzie im opuścić arenę sportową nie wiedzą co mają dalej robić. Chwytają się trenerki (nie zawsze udanej), lub szukają po omacku miejsca na ziemi, ztorzeżając, że zostali przez los pokrzywdzeni.

Znałem takiego reprezentanta Polski w piłce nożnej. Był jednym z największych talentów piłkarskich, z dużą dozą wrzodzonej inteligencji — tak na boisku jak i w życiu prywatnym. Bardzo sympatyczny młody człowiek, uwielbiany przez kibiców, dziewczęta i kolegów. Jako sportowiec miał sporo pieniędzy, był szczodry dla kolegów i dziewcząt. Kiedy odszedł z piłkarstwa nie miał — jak się później okazało — nawet skończonej szkoły podstawowej, nie miał żadnego zawodu. Był na swój sposób ambitny. Wyjechał z miasta, w którym przeżył — jak powiada — najpiękniejsze chwile swego życia, aby nikt nie oglądał jego klęski.

Wielu jest młodych ludzi, którzy powąchwawszy sportu zaprzedał mu się ciałem i duszą, stał się on dla nich celem samym w sobie, pasją ich życia. Działacze mówią o takich: „To są wzorowi sportowcy”. Sciskają im dlonie, gratulując świetnych wyników, wręczają dyplomy, nagrody rzeczowe i pieniężne, chuchają i dmuchają na nich do czasu, kiedy torują im drogę do uzyskania szczytów. Mniej natomiast myślą o przyszłości sportowca, o tym, by zabezpieczyć mu zdobycie zawodu, umożliwić ukończenie szkoły średniej, czy wyższej. Takie działania, a ściślej mówiąc — antydziałanie, powoduje, iż sport wyrzuca co roku ze swego grona pewną ilość osób nie przystosowanych do życia poza boiskiem, czy salą gimnastyczną. Sport, którego jednym z głównych obowiązków jest wychowywanie społeczne zawodników nie powinien dopuszczać do tego, aby na jego organizmie wyrastały „kalcid społeczne”.

stawionych utworach), podobnie zresztą było i na koncercie symbolicznym. Karol Mroszczyk jak zawsze wierny sobie i swemu stylowi udostępnił trzy pieśni (w tym dwie już znane) i dwa zbliżone charakterem fragmenty II Suty lirycznej na ork. smyczkową, bliższe stylowi gry orkiestry radiowej i zapewne dla niej napisane. Jerzy Bauer ukazał Suitę na fortepian oraz Introdukcję i trzy modlitwy o pokój na ork. smyczkową, Bronisław Kazimierz Przybylski — Permutare na trio stroikowe i Cztery studia na orkiestrę i utwory obydwu tych kompozytorów pozostawiły we mnie wrażenie niedosytu. Trudno uznać je za udane, skoro są to własne studia nad określonymi problemami rozwiązywane niekiedy bardzo interesująco (Cztery studia Przybylskiego), ale ciągle tylko próby, etudy, doświadczenia, nie mogące zastąpić autentycznej dramaturgii, rozwoju, kulminacji, konstrukcji zwartej, przemyślanej i coś znaczącej — obojętnie, jakimi wyrażonej środkami. Uznając jak najbardziej celowość takich prób i doświadczeń nie widzę zarazem sensu przedstawiania ich jako dzieł, chyba że jako „szkice do...” — jak w niektórych wystawach malarskich. Pozostaje więc w tym wypadku chyba jedynie czekać na dzieła zawierające coś więcej i użytkowujące nabyte drogą prób doświadczenia.

Podobne wrażenia wywarły „Pastele na flet i perkusję” Andrzeja Hundziaka, bardzo interesujące kolorystycznie z uwagi na bogactwo perkusji i trzy rodzaje fletów: zwykły, prosty, i altowy. „Wizje” na

wiolonczelę solo i „Oczekiwanie” na wielką orkiestrę Bernarda Pietrzaka zawierały pewien zamysł dramatyczny i były — jak zwykle u tego kompozytora — nader interesujące. Choć nowe, nie były jednak najlepszymi utworami kompozytora. A swoją drogą chciałoby się namówić tego utalentowanego twórcę do spróbowania swych sił w autentycznej wielkiej formie; tym razem np. w „Oczekiwanie” aparat wykonawczy wydał się niewspółmierny do końcowego efektu, orkiestra była po prostu nie wykorzystana.

W obydwu koncertach zabrakło dzieł najbardziej wszechstronnego łódzkiego kompozytora Tomasza Kiesewettera — twórcą ten dawno już nie przedstawił nowego dzieła z tak przezeń lubianego gatunku wielkich form symfonicznych. Dzieła jego weszły natomiast do programu finałowego koncertu „Wiosny” w wykonaniu orkiestry radiowej i świąteczny zasłużony triumf — mowa o pieśniach na bas z orkiestrą do tekstów własnych T. Kiesewettera. Spośród członków łódzkiego koła ZKP zabrakło tym razem utworów Stanisława Mrońskiego, Romana Łykowskiego, Aleksandra Kozłowskiego i Zbigniewa Szymonowicza, którzy jak się wydaje ostatnio znacznie ograniczyli swoją działalność kompozytorską. Z utworów pozostałych twórców ledwie zebrano program króciutkiego koncertu kameralnego i jednej części koncertu symfonicznego (w drugiej jego części wystąpiła bowiem bardzo przeciętna pianistka urugwajska Nibya Marino w mocno podstarzałym koncercie fortepianowym Gershwinia). Zatem pró-

ba manifestacji twórczej łódzkiego środowiska kompozytorskiego okazała się po prostu nieudana.

Ale przecież koncerty te miały niewątpliwą wartość — doskonałych wykonawców. Nie ulega wątpliwości, że szczególnie w koncercie kameralnym wykonania zdecydowanie górowały nad utworami. Lidia Skowron z Kiejstutem Baeciewiczem, flecista Władysław Osiński i perkusista Bronisław Pokora, pianista Andrzej Tatarski (zresztą jedyny „importowany” muzyk tego wieczoru), wiolonczelista Roman Jabłoński, Trio Stroikowe (Z. Kaczmarek, G. Postolów, St. Sojka) byli prawdziwą ozdobą koncertu. Podobnie wiele potrafił odczytać z partytur orkiestrowych dyrygent Janusz Przybylski (nb. wychowanek łódzkiej PWSM i obecny szef orkiestry w Olsztynie).

Przypomnieć wreszcie wypada, że w czasie trwania „Wiosny”, Operetka wystąpiła z premierą musicala „Nicole” Michela Jary’ego. Premiera ta zwróciła uwagę ponownie na problem wykonawstwa muzycznego — okazało się, że w zespole teatru jest niejedyną wartościowy artysta (np. znakomity clochard Jeujeu Witolda Jawisa!), zresztą jest to cecha wspólna całego łódzkiego środowiska muzycznego — wysoki poziom wykonawców w różnych dziedzinach muzyki. I zlekceważenie tego skłonny jestem uznać za podstawowy błąd organizatorów tegorocznego — ciągle jeszcze prowincjonalnego łódzkiego festiwalu.

A jak by można inaczej? Może zastanowimy się wspólnie?

## Przez pryzmat dzieciństwa

Powiedział mi ktoś, po przeczytaniu nowej książki Honoraty Chróścielewskiej — „Królowa Majorki”, że przypomina mu ona przedwojenny cykl audycji radiowych piana Marii Kuncewiczowej, zatytułowany „Dni powszednie państwa Kowalskich”. Rzeczywiście — w koncepcji formalnej tych dwóch utworów istnieje pewne podobieństwo, różnice jednak między nimi są o wiele głębsze i bardziej decydujące.

Pierwsza z tych różnic to odmienność czasu historycznego, z czym związana jest ściśle odmienność wielu szczegółów problematyki i tła społeczno-obywatelskiego. Po drugie — duet państwa Kowalskich staje się w powieści Chróścielewskiej teraźniejszością, a w powieści występuje — i to w roli pierwszoplanowej — 10-letnia córka małżeńskiej pary bohaterów. Można by jeszcze dodać, że w książce Chróścielewskiej jest mowa nie tylko o dniach powszednich tej trójosobowej rodziny, lecz również o datach uroczystych, jak np. święto 1-majowe, wieczór wigilijny lub imieniny w domu.

W „Królowej Majorki” autorka powtórzyła konwencję narracyjną z pierwszej swojej powieści — „Córka tego, co trąmważy jego”. Tok narracji włożyła w usta nieletniej dziewczynki i jej właśnie powierzyła rolę swego porteparole. Ta mała Bożenka jest osobą rezolutną, spostrzegawczą i obdarzoną bujną wyobraźnią. Do spotęgowania tej ostatniej cechy przyczyniły się w niemym stopniu „kobrowate” programy telewizyjne oraz potajemna lektura jakichś okropnych kryminałów. Bożenka posługuje się

językiem dorosłych, nie zawsze rozumiejąc istotny sens używanych słów i zwrotów. Nie zapomina przy tym o specyficznej gwarze szkolnej, a z tej stylistycznej mieszanki wynikają niekiedy efekty prawdziwie komiczne. Bożenka patrzy na świat i jego sprawy oczyma dziecka, ale — ze względu na funkcję powierzoną jej przez autorkę, wypowiada niekiedy swym dziecięcym szczebiotem sądy i opinie całkiem rozsądne, słuszne i dorosłe. Błąd zdobywa się nawet na „złote myśli”, jak np. paradoksalne stwierdzenie, że „najtrudniej jest obudzić człowieka, który nie śpi”. Bardzo mi się to spodobało: to już prawie Oskar Wilde (w miniaturze).

Życie w domu rodziców Bożenki toczy się na ogół spokojnie, bez dramatycznych wstrząsów. Tatuś jest inżynierem, pracuje uczciwie w jakiejś fabryce, awansuje wysoko, jest dobrze widziany, bo nie zdarza mu się do góry; mamusia też znalazła sobie pracę pozadomową. Wydatki bowiem rosną, a pomoc domowa staje się niezbędna; zaś córeczka chodzi do szkoły, uczy się nieźle, jest w miarę grzeczna i poslušna i lubi czasem — jako mała kobiątka — poplotkować z koleżankami i o koleżankach.

Kronikę codzienną tej bardzo współczesnej rodziny inteligentnej urozmaiciła autorka krótką, lecz pouczającą historią ciotki Izy — o jej nieudanej wyprawie po amerykańskie złote runo. Pani ta, mając trochę przewrócone w głowie punkcie rzekomych zagranicznych rajów, chętnie uwierzyła w legendarny spadek w USA, który miał

jej zapewnić pałac, miliony, luksusy i... tytuł księżycy (!) na dodatek, lekkomyślnie wyruszyła na Zachód. Okazało się jednak na miejscu, że ową olbrzymią, jakoby „masę spadkową” stanowią tylko: pralnia i skromny hotelik, a nie mniemane miliony. Kazano jej przy tym od rana do nocy ciężko harować w tej pralni w charakterze pogańca zatrudnionego tam personelu. Bardzo szybko znużył się ten amerykański raj pani Izy, postanowiła więc słusznie wracać do kraju, wioząc bagaż gorzkich, lecz pożytecznych doświadczeń. Nie ona jedna zresztą — jak wiemy — stała się ofiarą zamorskich mraży. Na wycieczki nie brak na tym świecie.

Wbrew bajkowemu tytułowi „Królowej Majorki”, który kojarzy się z gorącą falą Morza Śródziemnego i urokami wyspy, gdzie — pod czułą opieką pani George Sand — Chopin leczył niegdyś nadwatłone płuca, akcja powieści Honoraty Chróścielewskiej toczy się w Łodzi, a niektóre szczegóły topograficzne, jak np. pięciopiętrowa kamienica

przy zbiegu ul. Mickiewicza i al. Kościuszki, skwerki będący miejscem przychodzących i towarzyskich spotkań przedstawicieli piego rodu z wielu domów okolicznych — itp., lokalizują dość wyraźnie na planie naszego miasta miejsce głównego nurtu tej akcji. A co się tyczy drugorzędnych postaci powieściowych, nie mogą się oprzeć wrażeniu, że niektórzy z mieszkańców i mieszkańek tego właśnie określonego rejonu znaleźli by na kartach „Królowej Majorki” coś nie coś ze swych autentycznych cech osobistych. Ale kładąc kres domysłom, powiem na koniec krótko: „życiowa” tematyka powieści, dobre zróżnicowanie postaw i reakcji trojga głównych bohaterów wobec faktów i zjawisk bieżącej rzeczywistości i żywy bieg narracji „Królowej Majorki” zdobyła jej na pewno bardzo wielu czytelników, przynosząc tym samym autorce zasłużoną i sprawiedliwą satysfakcję.

\*) Wydawnictwo Łódzkie, str. 188, cena zł 13.—



Rzeźba afrykańska

**FP** OBIEKTYW

## RZECZ O CUDZYM SERCU W PIERSI

Pierwsza w pewnym sensie udana operacja przeszczepienia serca ludzkiego dokonana w szpitalu Grootte Schuur w Kapstadzie przez profesora Christiana Barnarda zbulwersowała cały świat. Pierwszy biorca cudzego serca dr Blalberg, zoprowadzony 3. XII 1967, żył jeszcze rok, przy czym większą część tego czasu spędził w szpitalu w warunkach aseptycznych. Śmierć jego, podobne niepowodzenia wielu innych takich operacji torakochirurgicznych dokonanych w różnych częściach świata (m. in. i w Łodzi) ostudziły podniecenie i przedczesne nadzieje, i kazały spojrzeć nieco inaczej na problem przeszczepów.

Co można stwierdzić z całą pewnością? To, że technikę przeszczepu chirurgia w zasadzie opanowała. Natomiast nie rozwiązany został problem immunologiczny: przeszczep, który się z początku przyjmie, może być w każdej chwili przez organizm odrzucony i wówczas następuje zgon.

Zofia Lorentz, znana pisarka łódzka, nawiązuje do tej sfery problematyki w scenariuszu widowiska telewizyjnego „Mgła”, nadanego przez Telewizję Warszawską w dniu 14. VI. Sztukę swą pod tym tytułem, która posłużyła za kanwę scenariusza, autorka napisała jednak mniej więcej przed trzema laty, a więc kiedy obiegowy stosunek do spraw transplantacji serca był zgoła inny, raczej pełen optymizmu. W tym czasie wiele zresztą napisano na ten temat, podchodząc doń od strony moralnej, prawnej itp.

Można stwierdzić na wstępie, że dziś rzecz nabrała innego wymiaru. A my nabraliśmy do niej dystansu i sceptycyzmu. Z tego punktu widzenia należałoby stwierdzić, że „Mgła” dotarła do widzów zbyt późno. Chyba stąd biorą się pewne niekonsekwencje i niezdecydowanie w potraktowaniu problemu. Bohater sztuki, były lotnik, po roku od udanej operacji przeszczepienia serca jest człowiekiem w zasadzie normalnym. Nie lata wprawdzie, ale pracuje w biurze i nie nie wskazuje na to, by odczuwał strach przed przyszłością i miał świadomość, że śmierć może nadejść w każdej chwili.

Ogarnięty jest natomiast swego rodzaju manią. Wewnętrzny imperatyw każe mu zbadać, kim była młoda dziewczyna, której serce nosi teraz w piersi i jakie były okoliczności jej zgonu. Źródła tego przymusu psychicznego nie są przez autorkę do końca wyjaśnione. Faktem natomiast jest, że bohater jej zamienia się w swego rodzaju detektywa i na podstawie poszlak dochodzi do odkrycia dramatycznego charakteru śmierci dziewczyny. Rozmawia także z moralną sprawcą tej śmierci.

Wydaje się, że „Mgła” wystawiona w roku 1971 straciła na aktualności. Można by snuć rozważania na temat, czy ma ona dziś charakter sztuki współczesnej. Raczej odnieść ją należy do przeszłości, gdyż dziś wszystkie problemy wiążące się z przeszczepami serca zdominowane zostały przez poczucie bezsilności. Medycyna nie jest w stanie zagwarantować nawet paru lat życia biorcy cudzego serca. Nie sądzę więc, by dziś znalazł się gdziekolwiek profesor przekonujący swego pacjenta, że przeszczep serca to dla niego ratunek.

Sztuka Zofii Lorentz napisana jest z nerwem dramaturgicznym, dzięki czemu oglądano się ją na ekranie z zainteresowaniem. Przyczynił się do tego żywy dialog i usensownienie fabuły w miarę jej rozwoju. Widowisko zrealizowane zostało sprawiedliwie przez Marię Kanię, przy czym na podkreślenie zasługuje starannie i pełne skupienia zagranie głównej roli przez Edmunda Fettinga. Chwilami tylko aktor może zbyt celebrować przeżył postać.

Muszę się natomiast przyznać, że nie bardzo zrozumiałem ustawienie postaci matki dziewczyny przez Eugenię Herman. Czy szczerze opłakiwała córkę, czy też zainteresowała się eks-lotnikiem jako mężczyzną, co aktorka wydawała się dyskretnie sugerować? Ta druga ewentualność bardzo strywalizowałaby sytuację. W obawie przed tym aktorka zagrała swą rolę jakoś dwuznacznie.

Ogólnie odnoszę wrażenie, że „Mgła” rozbudowana do pełnego spektaklu teatralnego mogłaby się stać interesującą interpretacją tak ważnego problemu.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Małe miasteczko na Sycylii, w którym według słów jednego z bohaterów, „roggi fruują jak muchy i nie wiadomo, na czym ezole ślądą”, to miejsce akcji filmu „SPRAWA SUMIENIA”. Roggi i rogacze to ukończony temat dwu kinematografii — francuskiej i włoskiej, osiągnęły one w analizie tego doniosłego problemu absolutną niemal perfekcję, widać empiria zdziałała tu swoje. Pomijając meritum sprawy, przyznać trzeba, że rogacz francuski inaczej się nosi niż włoski, czego dowodem różnice napięcia dramatycznych w momencie demaskacji tego straszliwego faktu. Reżyserzy włoscy, na czele z Pietro Germim problem „rogów” uczynili głównym wątkiem wielu komedii obyczajowych, które powstawały nie tylko ku ucieście bliźnich. Seria tych znakomych komedii pełniła funkcję ostrej satyry, częstokroć walczącej z przejawami anachronizmów moralno-obywatelskich współczesnych Włoch.

Reżyser G. Grimaldi, idąc tropem Germiego, zawędrował również na Sycylię, ona bowiem pozostaje nadal niewyczerpanym źródłem autentycznych relikwów zmuszających, lecz typowej oby-

czajowości. Daleko „Sprawie sumienia” do drapieżności filmów „Rozwód po wosku”, czy „Uwiedziona i porzucona”, lecz przyznać trzeba, iż trudno film ten traktować wyłącznie jako pikantną zabawę, zbyt duży ładunek smutnej refleksji moralnej kryje się za szatafrazem komediowych sytuacji i postaci. A wszystkim winne były wyrzuty sumienia pewnej pani, która zdradziła męża z „dalekim kuzynem”. Jej list, opublikowany w „Kaciku serc” kobiecego magazynu, zburzył spokój meskiej polowy mieszkańców miasteczka. Zmobilizowane sily zagrożonych w swym honorze panów, rozpalili, wbrew nim samym, burzę, która przeszedłszy huraganem nad miasteczkiem, zdariła zastany z wielu cnotliwych mieszczańskich domów. Okazało się wówczas, iż ilość odmian „rogów” przekracza wiedzę ich rzeczywistych i potencjalnych posiadaczy, i że nie tylko o „roggi” tu chodzi. Dla obserwatorów owego huraganu rzeczą szczególnie w oko wpadającą będzie dwuznaczność funkcjonowań tak niewzruszonych świętości jak dom i rodzina. Zza parawanu pozorów widać prawdziwe oblicze czelidnych mieszkańców miasteczka, oblicze mocno kompromitujące.

Rzecz z burzą ma się zawsze jednak, mijają szybko i wszystkim powraca do normy. Gdy w ostatniej scenie widzimy całe towarzyszywo zebrane po nabożeństwie w miejscowej kawiarni,

ni, wiemy, że ich godnym postawom nic już nie zaszkodzi, nawet nieoczekiwane wyznanie autorki nieszczęsnego listu. Pogoda się nawet z gorzkimi prawdami, które niechęć poznali — pozor liczy się nade wszystko. Pewne smutne refleksje towarzyszące „Sprawie sumienia” nie przeszkadzają nam bawić się na tym filmie znakomicie. Panów i panie śmieją się tyle samo pikantnie, co uciężne sytuacje i gagi, panów z osobna raduje fakt, iż „roggi” ukończyły sobie południowe niebo, panie zaś, tak rzadko mające okazję oglądać w kinie generalną kompromitację rodu męskiego, myślą zapewne o tym, że sycylijskie niebo wprawdzie daleko, ale...

★ \* ★

Film „EFFI BRIEST” jest następnym przykładem naturalnych już losów filmów zwanych telewizyjnymi, które po premierze na małym ekranie zaczynają odbywać wędrowkę po ekranach kinowych, nie dzieląc niczym niezwykłym w porównaniu z filmami „kinowymi”. „EFFI BRIEST” — film będący adaptacją powieści jednego z czołowych przedstawicieli niemieckiego realizmu krytycznego XIX wieku, Theodora Fontane, powstał na zamówienie Telewizji NRD. O popularności tej mało znanej u nas powieści niech świadczy fakt, że oglądana obecnie adaptacja jest już trzecią z kolei ekranizacją tego utworu.

Nawiązując nieco żartobliwie do filmu „Sprawa sumienia”, rzecz by można, że powieść o Effi Briest jest jeszcze jedną

historią „rogów”, tym jednakże razem ich ujawnienie staje się przyczyną dramatu. Theodor Fontane smutne dzieje swej bohaterki uczynił kanwą obrazu demaskującego moralność współczesnych mu wyższych sfer pruskiej burżuazji. Autor obdarował swą bohaterkę niewątpliwie dużą sympatią, jej urok, szczerotę i wewnętrzną wrażliwość kontrastował z ponurym światem moralnej obłudy środowiska, w którym żyła. Ta sympatia dla Effi towarzyszy również obecnym adaptatorom powieści. Jeśli jednakże zapomnieć na chwilę o wdziankach biednej Effi i pozbyć się współczucia, które zawsze będzie budziły smutny los młodej kobiety, to okazuje się, że Effi jest naturalnym tworem swej epoki i swego środowiska, postacią budzącą sympatię tylko dlatego, że przypadek wynikły z nieroztropności nie pozwolił jej dalej obrastać w przywary tych, wśród których żyła. Nie była od nich lepszą, tylko młodsza.

Szacunek realizatorów dla prozy Theodora Fontane nie okazał się dla jej filmowej wersji zbyt szczęśliwym. Wprawdzie cennie trzecia przekonywujący rysunek postaci i prusko-burżuazyjnej obyczajowości, jednak brak dystansu wobec nie tyle tematu, ile fabularnej jego realizacji, stanowi główny grzech tego filmu. Sentymentalna fabuła wzięła górę nad tym, co istotniejsze, realistyczny portret świata, w którym Effi żyła, stał się tylko skromnym tłem. Całą opowieść prowadzą twórcy filmu w tempie tak wolnym, że w końcu smutny jej finał przyjmuje się z ulgą, co wydaje się grzechem następnym filmu. Być może „Effi Briest” sprawdziłaby się lepiej na ekranie telewizyjnym.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## RZEZBA, KTÓRA GRA Z DZIEĆMI W PIŁKĘ

W Paryżu otwarta została m.in. wystawa Jeana Tinguely. Dziwny to rzeźbiarz i dziwne są jego rzeźby. Są to maszyny, które wydają dźwięki, zgrzyty, skrzypienie, szczykanie. Poruszają swymi metalowymi elementami, same znajdują się także w ruchu obracając się czasami wokół swej osi, ale w przeciwnieństwie do prawdziwych maszyn nie produkują niczego. Artysta twierdzi, że inspiracje do swych rzeźb czerpie z codzienności, z obcowania z przedmiotami codziennego użytku i z mechanizmów jakie nas otaczają we współczesnym świecie — motorów, samochodów, maszyn fabrycznych.

Majstrował od dziecka toteż gdy dorósł, pewnego razu pozawieszał przedmioty jakie miał pod ręką na metalowym szkielecie, podłączył motorek i zdumiał się jak owa kon-

teatralny. W latach pięćdziesiątych plótno i farby zastępuje żelaztem. Zaczyna budować swe pierwsze mobilie, początkowo małe mechanizmy poruszane motorkiem elektrycznym lub po prostu korbką. W roku 1959 wystawia na paryskim biennale metaroboty — jak je nazywał. Są to maszyny malujące obrazy abstrakcyjne. Owe metaroboty namalowały aż czterdzieści tysięcy obrazów, które Tinguely porzucił każdemu kto chciał je wziąć. Niektóre z tych obrazów przypominały jako żywo dzieła kilku współczesnych abstrakcjonistów. Wywołało to wśród nich oburzenie, ale Tinguely wyjaśnił, że nie miał zamiaru zakpienia sobie z abstrakcjonistów. Wprost przeciwnie — chciał im złożyć hołd.

Tinguely odwiedza składnice złomu, nabywa tu części rozmontowanych, przestarzałych czy zepsutych maszyn, kupuje elementy rozmaitych mechanizmów i konstruuje z

byli m.in. współtwórcami dekoracji francuskiego pawilonu w Montrealu na Światowej Wystawie, gdzie Tinguely ustawił swe mobilie wśród „nanas” Nikli.

W roku 1960 w Nowym Jorku, a w Mediolanie w roku bieżącym Tinguely pokazał maszyny samoniszczące, które po pewnym określonym czasie ruchu, eksplodowały niszcząc się same. Były też maszyny-rzeźby ciskające pociski w kierunku widzów. Na szczęście nie stychała, żeby któryś z widzów poniósł z tego powodu jakiś szwank.

Obecna ekspozycja w Paryżu jest pierwszą retrospektywną wystawą dzieł Tinguely'ego w tym mieście, gdzie mieszka od roku 1935. Oprócz rozmaitych mobilów można tu podziwiać rzeźbę, która gra z dziećmi w piłkę. Toteż młodociani widzowie chętnie się bawią z tą dziwną rzeźbą.

## PO PALERMO — MARSYLIA

„Córka ambasadora, przez lat piętnaście redaktorka naczelna czasopisma kobiecego „Vogue”, Edmonde Charles-Roux sprawiła niespodziankę czytelnikom, krytyce i niewątpliwie sama była zaskoczona otrzymując nagrodę Goncourtów w roku 1966 za swą pierwszą powieść pt. „Zapomnieć Palermo” — pisze recenzent paryskiego tygodnika „L'Express”.

Powieść „Zapomnieć Palermo” znana jest polskiemu czytelnikowi, gdyż PIW wydał ją w roku 1964 w tłumaczeniu Elżbiety Bakowskiej. Książka Edmonde Charles-Roux, pisana w stylu stendhałowskim, a przedstawiająca tak znakomicie środowisko sycylijskich emigrantów w Ameryce, zyskała sobie duże uznanie u czytelników. Rozprzedano ją we Francji w ilości 350 tys. egzemplarzy, przetłumaczono na 16 języków.

Autorka nie poszła zwykłym śladem laureatów Prix Goncourt, którzy o nagrodzie starają się w możliwie najkrótszym czasie wydać nową książkę,



Edmonde Charles —  
Roux

póki trwa pamięć o ich sukcesie. Pięć lat minęło nim Charles-Roux wystą-

piła z nową powieścią pt. „Elle, Adrienne” (Ona, Adriana).

Tym razem temat jest inny, nie ma tu już śladu wspomnień ani o Stanach Zjednoczonych, ani o Palermo. Styl autorki też uległ ewolucji, to już nie Stendhal, teraz przypomina raczej pisarstwo Aragona czy Paul Morandis. Akcja — to dzieje miłości Ulrica, typowego kosmopolity do tajemniczej Adriany, od której nie może się dowiedzieć skąd pochodzi i kim jest jego ukochana. Dzieje tej miłości kreśli pisarka na tle wojny. Akcja jest zresztą tylko pretekstem do wykazania erudycji autorki (co nieraz denerwuje czytelnika), a głównie do pokazania Marsylii, zniszczonej barbarzyńsko przez Niemców w lutym 1943 roku, i do ukazania środowisk francuskiego Ruchu Oporu. I jedno i drugie, opis starej Marsylii jak i charakterystyka ludzi walczących z okupantem — udało się podobno autorce znakomicie.

## NAGRODA IM. HOLWECKA DLA OJCA HOLOGRAFI

Angielski fizyk, siedemdziesięcioletni Dennis Gabor, profesor uniwersytetu londyńskiego, uchodzący za ojca holografii otrzymał w Paryżu nagrodę „Hojweck 1971”. Nagroda ta została ufundowana przez „Physical Society” w roku 1945 dla uczczenia pamięci zamęczonego przez Gestapo w roku 1941 wybitnego fizyka Fernanda Holwecka, który brał udział we francuskim Ruchu Oporu. Nagroda przyznawana jest co roku raz fizykowi francuskiemu przez angielski „The Institute of Physics”, a raz fizykowi angielskiemu przez „Societe française de Physique”.

Holografia, za wynalazcą której uchodzi Dennis Gabor, jest techniką pozwalającą przy zastosowaniu lasera na wykonywanie fotografii w formie płaskorzeźby, co otwiera nowe możliwości nie tylko dla nauki, ale i dla sztuki.

## „ROLLING STONES”

Kilka lat temu jeden z najpopularniejszych zespołów wokalne-muzycznych wśród nastolatków, przebywa obecnie na południu Francji. Ostatnio „Rolling Stones” nagrali dziesięć nowych piosenek na długogrającej płycie zatytułowanej „Sticky Fingers”.

Mick Jagger, który niedawno ożenił się z córką pewnego dyplomaty poludniowoamerykańskiego, śpieje jak dawniej o miłości nastolatków. W swej jednak najlepszej piosence owej płyty, Jagger opisuje, ku przestrodze tych, którzy zająwają narkotyki, śmierć narkomana. Docieka już do niego słabo

dźwięki syreny ambulansu pogotowia ratunkowego, nie poznaje nawet lekarza, a ostatnimi słowami umierającego jest błaganie o zastrzyk morfiny. Koperkę płyty projektował Andy Warhol. Spodenki widoczne na fotografii zaopatrzone są w zamki błyskawiczne, które nabywa płyty może otwierać.



„Rolling Stones” na kopercie ich najnowszej płyty



Rzeźba Tinguely'ego, grająca z dziećmi w piłkę

strukcja ożyła zmieniając swe formy na coraz to inne. O owa zmianę form chodził do dziś Tinguely'emu, który twierdzi, że dzieło sztuki nie powinno mieć trwałej formy, ale zmieniać ją, odświeżać, przemieniać ciągle.

Jean Tinguely urodził się w Bazylei w 1925 r. Tu też studiował w Akademii Sztuk Plastycznych. Początkowo malował obrazy surrealistyczne, potem abstrakcyjne, ale malarstwo zarzucił od czasu gdy zaczął pracę jako dekorator

nich dziwne, coraz to nowe mobilie. Od czasu kiedy się ożenił z Nikli de Saint-Phalle twierdzi, że jego dzieła muszą być wesole. I rzeczywiście te poruszające się maszyny-rzeźby wydające dźwięki, wywołują nieraz u widzów wrażenie czegoś zabawnego i wesołego. Przypomnijmy przy okazji, że Nikli de Saint-Phalle jest także rzeźbiarką i to bardzo oryginalną. Tworzy ona z polistyrenu, obrzniętym kolorowe laki, nazywaną przez nią „nanas”. Oboje



## PÓL WIEKU SŁONIMSKIEGO

LITERATURA I SZTUKA — SŁONIMSKI W SMO-KINGU — 600 STRON PUBLICYSTYKI — BIBLIA POLSZCZYŹNY — HISTORYCZNA RECENZJA — MOJE I RAMOLE — ZWIEŻŁOŚĆ I PROSTOTA — DOKUMENT BEZ KOMENTARZA

Felton jest sztuka ułotną. To stara prawda, o ile przyjemny, że felton jest w ogóle sztuka. Jako feltonista powinieniem jednak zakładać, że felton bywa czasem sztuką. Jest natomiast felton literaturą bardziej niż dziennikarstwem i to wcale nie dlatego, że tak kwalifikuje go słownik terminów literackich. Jest literaturą na pewno i jest sztuką w wypadku twórczości Antoniego Słonimskiego.

W mojej podręcznej bibliotece feltonisty od lat znajdują się „Wspomnienia warszawskie” z furą wspaniałych anegdot, „Zalutwiono odmownie”, z

żywcizną kpiną z paradokсів współczesności, no i oczywiście — „Kroniki Tygodniowe”, które są dla piszącego nieocenionym źródłem inspiracji, tematów (wciąż przecież aktualnych), wiedzy o świecie i bania ze zdrowym rozsądkiem.

Opasły, blisko 600-stronicowy wybór twórczości publicystycznej, recenzjonckiej i feltonowej Antoniego Słonimskiego zawiera właściwie wszystkie te chude książeczki z mojej podręcznej biblioteki. Jest to więc dla mnie książka znajoma, po prostu Słonimski założył tylko smoking, reszta pozostała ta sama. „Jedna

strona medalu” jest więc podsumowaniem wieloletnich „Walk nad Bzdurą”, jest literackim i historycznym już dokumentem.

Do Słonimskiego zgłaszano różne — większe i mniejsze — pretensje natury pryncypialnej. Jestem skłonny przypuszczać, że przynajmniej niektóre z nich nie były pozbawione podstaw. Ale są one przysłowiowym małym piwem wobec niewzruszonego faktu, że twórczość publicystyczna tego poety jest biblią klarownej, precyzyjnej, dowcipnej polszczyzny. W literaturze wszystko inne przestaje się liczyć, gdy upłyną lata. Pozostaje znakomita proza dokumentująca swój czas, pozostaje literatura ze znakiem jakości, pozostaje racjonalizm, dowcip, intelekt.

Do historii przeszła już słynna recenzja Słonimskiego z komedii Sardou „Cwiartka papieru”. Recenzja składała się z dwu zdań: „To nie była ewiarcka papieru. To była rolka”. Jest i ta mini-recenzja w zbiorze. Ale są i inne. Mój Boże! Ktoż dziś tak pisze — lekko, rzeczowo, z dowcipem, z ironią — dzisiejsze recenzje

teatralne to skrzyjące płyty. I obyczaj recenzentki jakoś się wygładziły: grzeczniutko się pisze, aby nie urazić, aby docenić, aby polecić... A Słonimski pisał na przykład o sztuce Devala: „ta wstrząsająca tragedia serc ludzkich opowiedziana jest z lekkością i błyskotliwością, jaką odznacza się stary noenik wyrzucony na śmietnisko. Lekkie to, ma polysk, ale usiedzieć już na tym nie sposób”. A o komedii „Niebieski lis”, wystawionej przez Warneckiego i Drabika pisze: „Wyrzepad by tego „Niebieskiego lisa”, bo pachnie naftaliną. Mole go już nadgrzyły, a ramole wystawily”.

Ale przecież Słonimski — recenzent to nie tylko prześmiewca i kpiarz. Mam na tych 130 stronach wybór recenzji panoramę teatralną lat 1924—1939, dokument ruchu kulturalnego stolicy w całej złożoności. Ambitne spektakle obok różnych „Niebieskich lisów” i „Cwiartek papieru”, ironiczna kpiną obok wnikliwych, mądrych rozprawek teatralnych.

Ku uwadze dzisiejszych autorów, biadających, że

perły swych myśli muszą rozsypanych na tak małej ilości kartek. Czytajcie Słonimskiego! (a także — czytajcie Boya). Ileż myśli zawrzeć można na półtornej kartce, ileż spostrzeżeń i sądów można zmieścić na jednej kartce! Tylko, że to niełatwo — ba! — trudniej. Przypomina się Wańkowicz, u którego zamówiono artykuł na pięć kartek w terminie pięciu dni. „To może, mistrzu, trzy kartki, ale za trzy dni!” — zapytał redaktor. „Jeśli trzy kartki, to dziesięć dni!” — odparł Wańkowicz.

Dwukrotnie już nazwałem opasły tom publicystyki Słonimskiego — dokumentem. Powtórzę to jeszcze na koniec. Uważny czytelnik odnajdzie na kartach tej dobrej literatury dokument czasów, polityki, obyczajów, formułań i cele żartów, rozległość krytyki i odwagę sądów... Uważny czytelnik otrzymał bowiem do rąk dokumenty z lat 1918—1968. Pół wieku publicystyki. Dokumenty zaś nie potrzebują komentarza.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

## Nad gramofonem

Ktoś: Mało wiem o tobie. Powiedz mi kim jesteś.

Ja: To trudne pytanie i bardzo ogólne. Kim jestem w sensie psychologicznym, antropologicznym, politycznym, organizacyjnym, ekonomicznym, ontologicznym.

Ktoś: Kim jesteś w jakimkolwiek ważnym sensie.

Ja: Odpowiem najpierw, co mam. Mam trzy ubrania, trochę bielizny, buty, zapas żyłek, mieszkanie, kilkadziesiąt książek.

Ktoś: Dostyc. Nie chcę całego inwentarza; czy jesteś ubraniami, bielizną, butami, żyłkami, mieszkaniem, książkami?

Ja: Raczej nie, używam tych przedmiotów, ale nie utożsamiam się z nimi.

Ktoś: A czy się utożsamiasz z innymi?

Ja: Nie. Nad wszystko, co posiadam, cenię sobie gramofon i kilkadziesiąt płyt. W płyty to jest zaklęty Antonio Vivaldi, Jan Sebastian Bach oraz inni. Ktoś: Ale ty nie jesteś Antoniem, czy wielkim Janem Sebastianem...

Ja: Niestety, nie. Chętnie bym się utożsamiał z ich życiem, czy nawet z ich śmiercią.

Ktoś: Mówiłeś też o innych, zaklętych w płyty — czy jesteś jednym z tych innych?

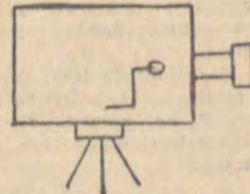
Ja: Niestety, nie. Ci inni — to, że tak powiem, inni inni.

Ktoś: Ale jacy w końcu?

Ja: Maksymalnie inni, niż ja.

Ktoś: Często mówisz o gramofonie i o płytach. Czy gramofon jest w większym stopniu tobą niż twoja koszula?

Ja: Nie, i prawdę mówiąc, uważam się za wyższego od gramofonu.



Ktoś: Co jeszcze masz?

Ja: Mam osobowość.

Ktoś: Czy nie jesteś przypadkiem osobowością?

Ja: Nie, osobowość to zespół dyspozycji psychicznych, nie utożsamiam się z nimi, ani z ich sumą.

Ktoś: Czy masz jakąś ideologię, z którą się utożsamiasz?

Ja: Mam. Ale ta ideologia została stworzona przez innych ludzi — mądrzejszych i odważniejszych niż ja.

Ktoś: Jesteś zatem wyższy nad gramofon i płyty, zaś niższy od ideologów.

Ja: Tak to jakoś wygląda. A teraz ja ciebie połączę, ja idę do domu, w którym ja puszcza nową płytę.

BERNARD SZTAJNERT



# OKUP

Archibald siedział przy klawirze, a ja na tylnym siedzeniu obok Jonathana Hardera.

— Piękna okolica, szczególnie teraz przy księżycu — rzekłem zwracając się do Hardera.

Nie odpowiedział, przez długi czas milczeliśmy wszyscy.

— Zdaje się, że wy obaj macie się na tych sprawach znać, jeżeli myślicie, że plan wam się uda — złośliwie się Harder.

— A jednak, dotychczas wszystko dobrze idzie — zauważyłem spokojnie.

— Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego wybrałście właśnie mnie? — zapytał Harder.

— To los wybrał, nie my. A stało się tak: zamknęliśmy oczy i na chybił trafił otworzyliśmy pewną stronę książki telefonicznej. I tam pod palcem znalazło się pańskie nazwisko — Jonathan Harder.

— Niewiele skorzystacie. Mam na swoim koncie bankowym tylko pięć tysięcy dolarów, to jest cały mój majątek.

— Tak mało? — Zwróciłem się do przyjaciela: — Archibaldzie, nie mamy szczęścia, wylosowaliśmy nędzarza!

Nasz samochód przejeżdżał w tym momencie obok nocnego klubu. W oknach blyszczły światła, grała przytłumiona muzyka.

— To jest lokal tego bogacza Corrigan, prawda? Ile ma takich jeszcze? — zapytałem.

— Wystarczająco dużo, aby być pierwszą osobą w tych stronach — odpowiedział Harder. — Możecie się spodziewać wielu nieprzyjemności z powodu waszego bezcelnego pomysłu. Jak można żądać za uwolnienie mojej osoby 50.000 dolarów okupu?

— Zostawiliśmy mu dość czasu, żeby mógł je zebrać, ma wyznaczony termin na jutro do godziny 12.

Auto skręciło teraz na boczna drogę wśród drzew. Niedługo znaleźliśmy się u celu, był nim mały, drewniany domek położony w odludnym miejscu. Wysiadłem z wozu i zapaliłem lampkę elektryczną. — Proszę uważać — rzekłem do Hardera — tu są kamienie i wielkie błoto.

Weszliśmy do izby, Archibald zapalił lampę naftową. Harder usiadł na krześle, które mu wskazałem. Był bardzo niespokojny.

— Co będzie, jeżeli Corrigan nie złoży okupu do południa? — zapytał Harder.

— Hm, gdybym był w pana skórce nie życzyłbym sobie tego — zauważyłem.

— Gdybyście mieli trochę rozumu, puścilibyście mnie zaraz! Nie odpowiedziałem.

Archibald przysiadł przy kredensie. — Jest tu grochówka z wieprzowiną — oznajmił. — Czy będziecie jadli?

— Dla mnie doskonale, a pan, panie Harder?

Potrząsnął głową przecząco. Wziąłem kłębek sznurów z kątka izby i zbliżyłem się do Hardera.

— Nie potrzeba, żebyście mnie wiązali! — zaprotestował.

— Niestety, musimy to zrobić. Proszę założyć ręce do tyłu! Związałem mu ręce i nogi.

— Nie możemy ryzykować — wyjaśniłem uprzejmie.

— Na jakiej podstawie sądzicie, że dla Corriganam jestem wart 50.000 dolarów?

— Wiadomo, że jest pan jego prawą ręką, a nawet serdecznym przyjacielem. Początkowo chcieliśmy się zwrócić do Elwiry Thomas, wiedząc, jak bardzo pana cenil. Ale obawialiśmy się, że nie zberze tyle pieniędzy i że musiałaby ostatecznie udać się do Corriganam, więc usunęliśmy jej pośrednictwo.

— Dlaczego nie chcecie się zgodzić na moje 5 tysięcy dolarów? — upierał się Harder.

— Jeżeli rozłożycie Corriganam, odszuka was i wtedy...

— Wszystko możliwe, słyszałem, że doskonale operuje sprężynowym nożem.

— Elza mogłaby sprzedać swoją biżuterię, z tego byłoby drugie 5 tysięcy dolarów.

— Za dużo czekania, a nam się spieszy.

Przez cały czas kiedy jedliśmy kolację Harder milczał, lecz widać było, że myśli nad czymś intensywnie. Wreszcie zapytał:

— A jak będziecie mieli te 50 tysięcy dolarów, czy mnie wypuscicie?

— Pomyślmy o tym — odpowiedziałem — chwilowo nie panu nie grozi.

Około godziny 23 zanieśliśmy go do sypialni i położyliśmy na prycy, gdzie mógł spać, jeżeli chciał. Archibald i ja pilnowaliśmy go na zmianę przez całą noc. O 8 rano Archibald przygotował śniadanie, lecz Harder nie chciał jeść, wypił tylko filiżankę kawy.

— W jaki sposób macie odebrać pieniądze? — zapytał Harder.

— Naszym zdaniem proste metody są najlepsze. Dokładnie o godzinie dwunastej Corrigan, lub ktoś z jego otoczenia, wyrzuci kopertę z okupem przez okienko samochodu w tym miejscu obok szosy, gdzie jest znak graniczny stanu. Archibald przejedzie tam wkrótce i — jeżeli wszystko pójdzie dobrze — podniesie kopertę.

Czoło Hardera zrosiło się potem. — A jeżeli nikt nie przywiezie pieniędzy?

— Proszę o tym nie myśleć — upomniałem go dobitnie.

Aż do godziny 11 Archibald czytał komiks, a ja rozwiązywałem krzyżówki. Nagle poderwałem się. — Przygotuj się, Archibald, już pora wyruszyć! Stwierdziwszy, że pada deszcz, Archibald włożył marynarkę. Po jego odjeździe wyjąłem mój rewolwer, otworzyłem i zacząłem dokładnie czyścić.

— Wie pan co — rzekłem powoli — jeżeli pan i Corrigan nie jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi, jak wszyscy sądzą, to teraz miałby wspaniałą okazję, żeby się pana pozbyć.

Harder przełknął ślinę i z trudem wyjąkał: — Nie... nie zrobiłby tego nigdy...

— Jeżeli pan tak mówi... Zna go pan lepiej.

— Pracujemy od dziesięciu lat.

— Naprawdę? Czy jesteście wspólnikami?

Potrząsnął przecząco głową. — Nie, on jest właścicielem i kierownikiem. Zastępuję go czasem.

— Ma pan chyba ciekawe życie — rzekłem unosząc mój automatyczny rewolwer. — No i ta Elwira Thomas... Naprawdę smakowity kasek. Słyszałem ją niedawno, głos marny, lecz nie ten towar ona sprzedaje...

Co kilka minut Harder pytał o godzinę. Była prawie 13, gdy usłyszeliśmy, że auto zatrzymało się przed domem. Harder zwrócił głowę w kierunku drzwi i czekał...

Archibald wszedł do pokoju, otrząsnął z kapelusza krople deszczu. Harder nie spuszczał z niego oczu.

— Czy masz kopertę, Archibaldzie? — zapytałem.

— Nie. Nikt się nie zjawił.

— Bo pan nie zauważył koperty! — krzyknął Harder. — Na pewno tam leży, gdzie się umówiliśmy, może w rowie przy szosie!

— Nie — odpowiedział Archibald spokojnie siadając na krześle. — Patrzyłem dobrze, niczego nie było.

Spojrzałem na Hardera. — Przyjacielu, mam wrażenie, że Corrigan nie odczuwa braku pana osoby, jak zresztą przypuszczaliśmy.

— Widocznie potrzebuje więcej czasu, aby zebrać całą sumę.

— A ja myślę, że nie chciał dać pieniędzy. Oto wszystko. Spojrzeliśmy obaj na Harde-



Fot. W. Parus

ra. Zbladł, jego przerażone oczy biegały od twarzy Archibalda do mojej.

Wziąłem ze stołu automatyczny rewolwer, który przed chwilą naladowałem i odbezpieczyłem spust.

Okrzyk strachu wyrwał się z gardła Hardera.

— Na litość boską, poczekajcie! Będziecie mieli pieniądze! Potrząsnąłem głową. — Na pewno nie. Gdyby Corrigan chciał płacić, już by to zrobił.

— Ja też mam pieniądze! — Głos Hardera brzmiał ostro, skrzecząco. — Prawie sto tysięcy dolarów! Możecie zabrać je wszystkie!

Spojrzeliśmy po sobie jakby niepewni co zrobić.

— Ja sądzę — rzekł mój przyjaciel — że Harder chce nas oszukać.

— Nie, to nieprawda! — krzyknął rozpaczliwie Harder. — Mam pieniądze! Są w kasie pancерnej Elwiry Thomas, w jej pokoju sypialnym... Ale to są moje pieniądze, wkładałem tam różne sumy przez dziesięć lat!

Archibald uśmiechnął się ironicznie. — A więc tak się sprawa przedstawia...

Schowalem automatyczny rewolwer do kieszeni i poszedłem do kuchni. Stał tam Corrigan

za uchylonymi drzwiami.

— Czy pan słyszał? — zapytałem.

— Tak, wszystko słyszałem.

— Niestety, miał pan rację — dodałem — okradł pana. Podbił panu co tydzień kilka tysięcy dolarów. Kto z nas ma go wykończyć — Archibald, czy ja?

— Nie, żaden z was. Już ja o tym pomyślę.

Ręka, którą wyciągnął z kieszeni, trzymała nóż sprężynowy...

Wszedł do pokoju sypialnego...

A. S.



Lewym okiem

## ZYWA POLEMIKA

Wyczytałem gdzieś niedawno, że obrońcy sądowi w Anglii dziś jeszcze występują w togach, zaopatrzonych w kieszonkę na plecach. Jak wiadomo, w Anglii wszystko wywodzi się z tradycji. Ta kieszonka pozostała z czasów, gdy adwokat był takim sobie elokwentnym najmitym za psie pieniądze, a często i bez pieniędzy; przemawiał, stojąc przed oskarżonym. Za każde efektowne i udane powiedzenie podsądny wsuwał mu od tyłu gwineję, właśnie do owej kieszeni.

Widziałem już na wystawach i na nogach nie zrozumianej i sfrustrowanej młodzieży trzewiki z weluru, z kieszonką w cholewce. Nie wiem, co i w jakich okolicznościach wsuwa się do takiej kieszonki. Być

może — gdy młodzieniec idąc spać wystawia swe buciska przed drzwiami, dobry tata czyści je i wypuszcza złożonego w osemkę czerwionca. Po co dzieciaka krępować i poniżać wręczaniem kieszonkowego wprost do ręki?

Nie, to tylko taki pomysł. Czym mniej namyśtu i myśli, tym więcej pomysłów. Już w sztuce nie ma natchnień, ani zamysłów, ani koncepcji. Są pomysły. Co do mody jest ich przeraźliwie dużo, jeszcze nigdy nie było tylu naraz, ale oczywiście daleko do wyczerpania wszystkiego. Jeszcze na przykład mogą być spódnie z jedną nogawką i z dekoltem z tyłu, albo spódnica zapinana nad głowę; mogą być zamiast butów same cholewy albo sam obcas, przyklejany do piąty pomalowanej na niebiesko; może być zamiast kapelusza wypchany nietoperz albo egzotyczna muszla z kogucim piórkami. Dalszymi pomysłami służą po godzinach pracy, na wszelki wypadek zaś przypominam, że też mam kieszenie z różnych stron.

Nogi już się nosi w pończochach, ale na twarzach jeszcze modna opalenizna. Jeśliby się paniom odwiedziła, przypominam radę hrabiny Elizy de Celuart sprzed stu lat: „Środek na opalenie skuteczny, chociaż mówiący prawdę nieco przykry — mycie się krwią ptaków”.

W prasie od wielu lat modne niezmiennie nawoływanie do odwagi i do zacyzania poprawy od własnego podwórka, czyli od samokrytyki. Samokrytyka jest lepsza od krytyki, bo nie może być anonimowa i nie może nikomu zaszkodzić, chociaż z drugiej stro-

ny taki niepośledni i odważny publicysta, jak Kazimierz Koźniowski, napisał wręcz w „Polityce”, że „samokrytyka jest dla intelektu obyczajem fatalnym”. Inny znomów publicysta, Władysław Kopaliński, odkrył, że przez ten cały intelekt to tylko katar i nic więcej. Zdaniem Kopalińskiego tak się milanowicie ludziom mózgi rozrosły, że zdefasonowały całą czaszkę, co spowodowało pokrętność przewodów nosowych i większą podatność na infekcje błony śluzowej. Jest to bardzo efektowna hipoteza, ale najpierw trzeba by dowiedzieć, że czym większy intelekt tym większy mózg, że czym większy mózg tym bardziej pokrętne przewody, i że czym bardziej pokrętne przewody tym łatwiej złapać katar. Osobiście widziałem zupełnych durniów nieustannie usmarkanych i nie wierzę Kopalińskiemu.

I nie zgadzam się jakoś z marzeniem jeszcze jednego publicysty, Stanisława Grzeleckiego, który zniechęcony coraz to inną jakością i zapachem tytoniu kupowanego uciąż po tej samej cenie i pod tą samą nazwą, wzdycha: „Gdyby tak w naszym kraju z rzeczy, które nie zmieniają nigdy swej jakości, było jeszcze coś poza wódką!”.

Gdyby pan redaktor Grzelecki pił częściej „Jarzebiak” lub „Soplicę”, stwierdziłby na pewno, że nigdy nie wiadomo przed wypiciem, jak to będzie smakować. Każdą flaszką inną! Ogrom niespodzianek, i to uciąż po tej samej cenie...

CWIEK